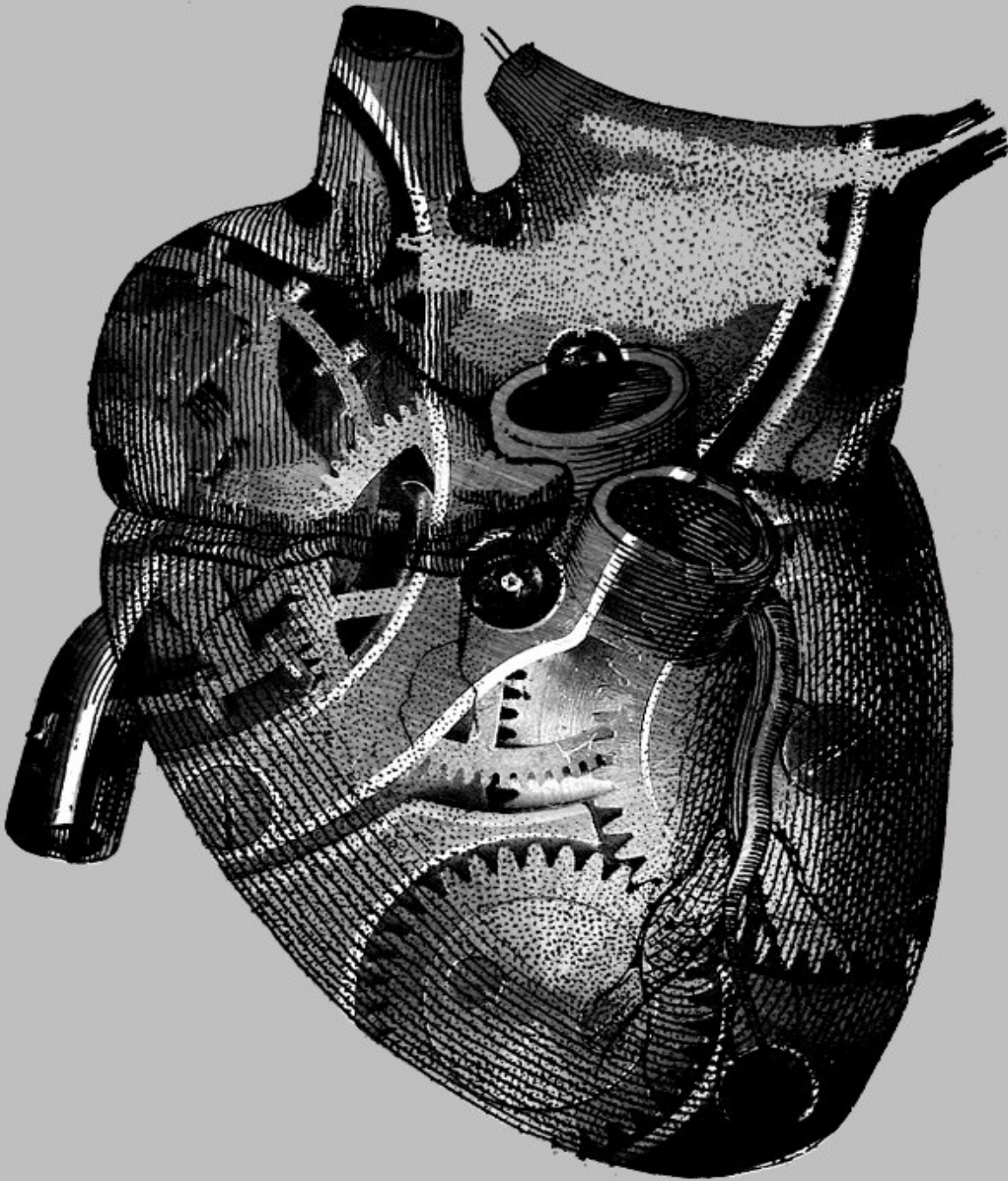


# szklana góra

ponure baśnie



marcin podlewski

**Marcin Podlewski**  
**Szklana Góra**  
**PONURE BAŚNIE**

# Spis treści

Karta tytułowa

Postuchaj...

SZKLANA GÓRA

RĘKA KRÓLEWNY

KARZEŁ I DIABEŁ

KSIĘŻNICZKA NAKRĘCANA

ŻELAZNE ZĘBY

ZUZANNA I WILK

RUBINOWA KREW

STARA MASZYNERIA

ZBYT PIĘKNY CHŁOPIEC

KRAINA ZMARŁYCH

SZKLANY KOMPAS

SREBRNE WAHADŁO

# Posłuchaj...

Niewielki zbiorek, który trzymasz w ręku zawiera dwanaście baśni. Większość z nich ma ponury charakter. Są tu zatem kruki, krople krwi i zakazane księgi. Dziwne dziewczynki o czarnych włosach i żelazne zęby. I smutek nakręcanej księżniczki.

Owe mroczne, ponure baśnie zostały znalezione dawno temu przez autora. Zdarzyło się bowiem tak, że zawędrował on pod zardzewiałą bramę starego Ogrodu. Przyciągnął go tam lekki, słodkawy zapach wanilii i dym z palonych liści. Ogród wyglądał na opuszczony, pełen powykręcanych drzew i skrzeczących wron. Autor nie lękał się jednak i poszedł w głąb Ogrodu, aż – na starej ławce stojącej pod drzewem pełnym dorodnych jabłek – znalazł starą księgę o pożółkłych kartach. To z niej pochodzi owe dwanaście baśni.

Możesz je przeczytać, jeśli chcesz. Nie jest ich w końcu zbyt wiele. Nie czytaj ich wszakże szybko. Te baśnie czyta się powoli. Niektóre szybko zapomnisz. Niektórych nie zapomnisz nigdy. Jedna z nich jest specjalnie dla Ciebie.

A jeśli zdecydujesz, by któreś z baśni poznało Twoje dziecko, wybierz ową baśń ostrożnie. To w końcu ponure baśnie ze starej, pożółkłej księgi.

*Autor*

# SZKLANA GÓRA

A teraz słuchaj.

Za mrocznym lasem, za zimnym jeziorem bez dna, za górami rozpaczy, za mgielnymi płaskowyżami nicości, tuż za równinami smutku wznosi się Szklana Góra.

Mówią, że postawił ją tysiąc lat temu diabeł. Chciał udowodnić, że w świecie niedoskonałości może postawić coś doskonałego. Kiedy wreszcie ukończył robotę okazało się, że nie może wspiąć się na Szklaną Górę by naurągać Bogu. Wściekły i przegrany wyniósł się spod jej zbocza, lecz góra pozostała.

Inni mówią też, że Szklana Góra to pozostałość dawnej i zapomnianej Wieży, stojącej w centrum Kryształowego Miasta. Żyjący w mieście z kryształu ludzie odkryć mieli sekret nieśmiertelności. Nie wiedząc czemu w niespełna dziesięć lat pozabijali się nawzajem. Miasto opustoszało i rozpadło się, lecz góra pozostała.

Jeszcze inni twierdzą jeszcze co innego. Podobno Szklaną Górę wznosił potężny czarnoksiężnik korzystając z mocy skradzionej porwanemu aniołowi. Mag na szczycie Szklanej Góry kazał postawić kamienne więzienie. Praca nad wznoszeniem konstrukcji z wyłowionych, morskich skał trwała pół wieku. Czarnoksiężnik zamierzał zamknąć w więzieniu piękną królową i obserwować daremne wysiłki bohaterów zamierzających ją uwolnić. Ale zły mag nie doczekał ukończenia budowy. Zmarł nagle, a więzienie nigdy nie zostało ukończone i rozpadło się z czasem. Robotnicy pozostawieni samopas pouciekali, lecz góra pozostała.

Prawdziwa historia góry jest jednak inna. Nikt nie wie, kto ją postawił.

Wiadomo tylko, że stoi tam od dawna, a promienie zachodzącego i wschodzącego słońca przeszywają ją jak pryzmat i barwią na tysiące rozbłysków. Od tego światła można podobno oślepnąć. Wielu już było śmiałków, którzy pragnęli zdobyć szczyt Szklanej Góry lecz, oślepieni, spadali w dół nie pokonawszy nawet połowy drogi.

Szklane zbocze przywołuje jednak wciąż nowych bohaterów. Jedni słyszeli, że na szczycie tej szklanej wieży rośnie krwawiąca róża. Nie można jej zerwać, lecz ktokolwiek skaleczy się o jej kolec i zmiesza swą krew z jej krwią, otrzyma dar: spełni się jego najskrytsze pragnienie. Niestety większość ludzkich pragnień nie jest tym, o czym ludzie myślą.

Inni wierzą, że na szczycie Szklanej Góry znajduje się tron z kruchej kości słoniowej. Ten kto na nim zasiądzie, będzie mógł rządzić całym światem. Niestety, aby utrzymać swą władzę, nie może zejść z tronu. Kto zasiądzie na tronie przekona się szybko, że zimny wiatr wieje na szczycie góry i sypie gęsty śnieg, a w koło nie ma żywej duszy.

Powiadają też, że na szczycie Szklanej Góry skrzy się perłowo Święta Brama. To tam znajduje się wejście do Raju. Wchodzący na górę już w połowie drogi czują zapach miodu zmieszany z delikatnym powiewem wanilii i słyszą śpiewy niebieskich słowików. Rośnie w nich serce na samą myśl o rajskich rozkoszach. Odurza ich aromat soczystych jabłek. Jak na skrzydłach wbiegają na szczyt i pędzą w stronę Bramy. Niestety, Brama jest zawsze zamknięta. Można dotknąć zmarzniętych wrót i można posłuchać odgłosów Nieba. Można nawet poczuć woń od której pęka serce, ale nie można wejść do środka.

Ja sam poszedłem pod Szklaną Górę. Przebyłem mroczny las, pełen zapomnianych duchów nawołujących mnie żałośnie. Przepłynąłem zimne jezioro starą, drewnianą łódką. Z jego mroźnej powierzchni dobiegał odgłos dzwonów dawno zatopionego, przekłętego miasta.

Przebrnąłem przez góry rozpacz, gdzie lodowaty wiatr niemal urwał mi głowę. Niemal zagubiłem się w mgielnych płaskowyżach nicości i niemal zawróciłem z drogi przechodząc przez równiny smutku.

Zmęczony, głodny i obdarty dotarłem przed Szklaną Górę. Była noc. Górę ze szkła dostrzec można było jedynie dzięki krzywym odbiciom gwiazdnego nieba w jej przezroczyściej powierzchni.

Podbiegłem by jej dotknąć. Była zimna i śliska w dotyku. Tam, gdzie nocne światło księżyca oświetlało jej zbocze, zauważyłem wąskie i strome schodki wyciosane w szkło. Oplątywały całą górę raz wzbijając się stromo, a raz opadając w dół. Nie spodziewałem się takiego ułatwienia.

Pod Szklaną Górą nie byłem sam. Byli tu i inni. Niektórzy z poszukiwaczy rozpalili małe ogniska, ale nikt nie dosiadał się do nikogo. Podróżnicy milczeli, patrząc na górę z lękiem i bojaźnią. Była tak majestatyczna, szklana i zimna, że aż serce zamierało.

Nie dotykałem już góry. Spojrzałem na nią jeszcze i – tak jak inni – po jakimś czasie zabrałem się z powrotem.

*Baśń Szklana Góra miała swoją premierę w grudniowym wydaniu magazynu „Nowa Fantastyka” z 2008 roku.*

# REKA KRÓLEWNY

Oczywiście znasz tę opowieść, tylko już jej nie pamiętasz.

Za siedmioma górami i siedmioma morzami, za gęstym borem pełnym zwierzyny i dolinami pełnymi srebrzystych rzek, rozciągała się sucha kraina. Był to świat kamiennych pustyń i popękanych skał, wyschniętych koryt wodnych i zbrązowiałych od słońca krzewów. Mówiono, że ziemię tę przeklął stulecie temu potężny czarnoksiężnik, ale nikt nie pamiętał już jego imienia. Jakkolwiek by nie było, przekleństwo nie dosięgło całej krainy. Dokładnie w jej środku znajdowało się bowiem piękne królestwo, które wyróżniało się niczym oaza w sercu suchej ziemi.

Nie było ono małe. Znajdował się tu przynajmniej jeden gęsty las i olbrzymie jezioro, połączone z rzeką wypływającą z suchych ziem. Ludzie tu mieszkający wiodli spokojne i bardzo dostatnie życie. W królestwie znajdowały się bowiem wielkie złoża drogocennych diamentów, które zapewniły bogactwo wszystkim obywatelom. Co prawda kilka razy chciwe i sąsiadujące państwa próbowały podbić krainę i szturmem zdobyć miasto, ale szybko okazało się że podróż przez suche ziemie stanowi zbyt duże wyzwanie dla wojsk agresora. Dwa razy zdarzyło się także, że wycieńczona ciężką przeprawą armia spotykała u bram miasta dobrze opłacone i dzięki temu świetnie wyszkolone, najemnicze wojsko. Wskutek podobnych porażek wrodzy generałowie machnęli w końcu ręką na diamentowe królestwo i całkiem słusznie uznali, że od wojny bardziej opłacalny jest handel z jego mieszkańcami, którzy chętnie wymieniali sakiewki z diamentami za żywność, ubrania, stal i wiele innych towarów.



Nie nękane przez zbrojne konflikty królestwo stawało się coraz piękniejsze tym bardziej, że wytrawni rzemieślnicy i artyści tworzyli dzięki diamentom prawdziwe cuda. Były wśród nich diamentowe ptaki o rubinowych oczach obsiadające srebrzyste gałęzie sztucznych drzew, przepiękne zabawki dla dzieci skrzące się od drogocennych kryształów i przedmioty codziennego użytku zdobione brylantami. Część z tych dzieł przetrwała nawet do naszych czasów a część z nich, jak choćby opowieść o nakręcanej księżniczce stworzonej po części z diamentów, znalazła swoje miejsce w książkach i historycznych publikacjach. Tak, czy owak, królestwo było tak piękne i bogate, że gdy zabrakło miejsca w pałacowym skarbcu, wiele przepięknych i bardzo drogocennych przedmiotów wystawiono na widok publiczny. Nikt ich nie kradł, zdołały zatem ulice, mury kamienic i muzea.

Trudno sobie wyobrazić większy zaszczyt, niż być panem takiego królestwa! Takiego też zdania był jego władca – uchodzący wśród swych poddanych za sprawiedliwego i mądrego króla. Ale choć otoczony był on przez prawdziwe skarby, za najdrogocenniejszy klejnot uważał swoją piękną córkę, o skórze błyszczącej jak najczystsze srebro, włosach żółtych jak jaspisy i oczach błękitnych jak diamenty. Jej matka zmarła przy połogu nic więc dziwnego, że król poświęcił cały swój czas jednemu dziecku i z niepokojem myślał o jej wyjściu za mąż. A kandydaci do ożenku walili drzwiami i oknami. Królewska kancelaria, gdy królewna skończyła już trzynaście lat, została wręcz zasypana matrymonialnymi propozycjami. Do ich rozpatrywania trzeba było utworzyć specjalny zespół urzędników. Zadanie posegregowania samej poczty było nie lada wyzwaniem tym bardziej, że przyszli małżonkowie nie przesyłali wyłącznie listów. Wśród korespondencji znajdowały się paczki z prezentami i setki miniaturowych podobizn nadawców

misternie namalowanych na szkle, pergaminie czy płótnie. Dodatkowo, do każdej podobizny dołączano perfumowany liścik indywidualny, tomik z wierszami, czekoladki, gustowne prezenciki, mapki posiadanych księstw i królestw, niewolników i niewolnice, egzotyczne stworzenia, instrumenty muzyczne, kufry z pościelą, harfy i tysiące innych przedmiotów, które coraz bardziej zaśmiecały pałac. W końcu zdarzył się wypadek: darowany słoń zdenerwowany tłumem podeptał w sali tronowej posadzkę, urzędnika i sporą część prezentów, rzucił się też nie niego rzekomo oswojony i spokojny tygrys, a na grupę tancerzy z dalekiego kraju w ogólnym harmidrze wylał się kocioł gorącej czekolady, wprowadzony na wielkiej lektyce niesionej przez wystraszone tygrysem, malowane małpy. Od tej pory zakazano przysyłania prezentów matrymonialnych większych niż lewa stópka królowny (a miała ona uroczą i niewielką stópkę). Niestety nadal, pomimo zakazu, zdarzały się wypadki: pakowano bowiem prezenty tak je ścieśniając, by nie przekroczyły wymaganej wielkości i przy ich rozpakowywaniu dochodziło do mniejszych lub większych wybuchów. Ściśnięte ciżemki, nakręcane słowiki, pozytywki, zdobione książeczki i co ciekawsze precjoza często wystrzeliwały nieszczęsnym urzędnikom pocztowym prosto w twarz.

I tak płynęły lata. Królowna piękniała z dnia na dzień, otoczona skarbami, mrowiem prezentów i służących. Otoczona przez wyjątkowe przedmioty i drogocenne kamienie szybko stwierdziła, że nic jej się nie podoba. Z niepokojem myślała też o ożenku: miała już bowiem siedemnaście lat, a był to najodpowiedniejszy wiek na małżeństwo dla królowny.

– Dlaczego królowny muszą wychodzić za mąż – zwierzała się często swojej wiernej służącej w trakcie porannej toalety. – To nudne i okropne.

Nie potrzebuję wcale męża. Mam wszystko, czego mi potrzeba.

Służąca nie odpowiedziała nic na te słowa, ale tego samego dnia królowna została wezwana przez swojego ojca. Oczekiwał jej w sali edukacyjnej, oglądając poskładany z diamentów, wielki globus.

– A więc nie zamierzasz wychodzić za mąż – powiedział król, pukając palcem w diamentowe kontynenty. – Moja droga, bez męża nikt nie potraktuje cię poważnie. Możesz być królową, ale poddani będą chcieli potomka i następcy tronu. Taka jest kolej rzeczy. Jeśli nie znajdzie się odpowiedni kandydat, nie dadzą ci z tym spokoju.

– Dobrze! – odrzekła na te słowa, nadąsana królowna. – Niech i tak będzie. Wyjdę zatem za tego, kto jest najodważniejszy, najpiękniejszy, najsilniejszy i najmądrzejszy. Każ to ogłosić ojczu.

– To nie takie proste – zauważył król. – Odważnych ludzi jest wielu i tu łatwo stwierdzić, czy ktoś nie zna lęku czy też jest zwykłym tchórzem. Ale wedle jakich kryteriów mamy osądzać, kto jest najpiękniejszy? Jest wielu pięknych młodzieńców, urodziwych książąt i królewiczów. I czy na pewno chcesz za męża osiłka? Widziałaś już kilku mocarzy i zawsze znajdzie się ktoś silniejszy od najlepszego kandydata. A najmądrzejszy? Czy najmądrzejszy to taki, który poświęcił się w pełni matematycznej sztuce, czy może taki, kto zagłębił się w filozoficzne rozmyślania? A może jego wiedza ma pochodzić z mądrych ksiąg? Jak mamy ocenić, kto ma być najlepszym kandydatem na męża?

– Ja sama to ocenię – wypaliła królowna. – Ty ojczu, zorganizuj wielki turniej a ja sama wymyślę do niego konkurencje. Ogłoś wszem i wobec, że turniej ten będzie turniejem śmiertelnym. W ten sposób ci, którzy się na niego zgłoszą będą już z gruntu odważni, skoro zechcą postawić na szali swoje życie. Ci, którzy przegrają, oddadzą głowy pod topór. Ale ten, kto przetrwa wszystkie konkurencje i wyjdzie z nich zwycięsko, otrzyma

moją rękę.

Jak postanowiono, tak zrobiono. W czasie, gdy po całym świecie rozbiegli się heroldowie ogłaszając śmiertelny turniej o rękę księżniczki, w królestwie rozpoczęto budowę wielkiej areny mającej pomieścić wszystkich uczestników turnieju. A że były to czasy ludzi odważnych, wkrótce pod bramy królestwa zaczęli przybywać niezliczeni śmiałkowie pragnący zdobyć rękę księżniczki. Byli tam urodziwi książęta, uczeni, wojacy, pięknisie, waleczni rycerze, poeci i zwykli ludzie pragnący spróbować szczęścia. Było ich tak wielu, że dookoła królestwa zaczęło powstawać prawdziwe miasto namiotów tym bardziej, że sporo pretendentów przybyło ze służbą i z wozami pełnymi ulubionych przedmiotów. Cała ta zbieranina krzątała się wokół budowanej areny, dyskutowała, komentowała, ćwiczyła się w szermierce, filozoficznych dysputach i logicznych łamigłówkach oraz – z pomocą zaklęć i specyfików – usiłowała podnieść poziom swojej urody.

Pośród tej zgrai kandydatów był pewien młodzieniec, na którego wszyscy zebrani patrzyli ze wzdrganiem, współczuciem bądź zdziwieniem. Nie był on bowiem zbyt urodziwy, ani zbyt mądry, nie wyglądał też na osiłka. Jak szczerze wyznał każdemu, kto go o to spytał, był on synem nieżyjącego już, średniej jakości czarodzieja. Sam czarodziejem nie był, nie posiadał żadnych zdolności magicznych, mieczem ledwo władał, książek przeczytał niewiele a na pytanie, jak zamierza u licha wygrać śmiertelny turniej odpowiadał tajemniczo: prawda zwycięży.

– Głupek i tyle – komentowano. – Szaleniec – mówili niektórzy. Nikt nie brał na poważnie obszarpańca i często myłono go ze służbą, usługującą obecnym w namiotowym miasteczku wielmożnym panom.

Nadszedł w końcu wielki dzień turnieju. Olbrzymie bramy areny otworzyły się szeroko i oczom zebranych ukazał się najwyższy

Marszałek Królestwa, stojący przed tajemniczym, czarnym korytarzem.

– To, co widzicie przed sobą – oznajmił Marszałek – to wejście do najgroźniejszego i najtrudniejszego ze wszystkich, najeżonego niebezpieczeństwami, labiryntu. Co krok, znajduje się tu filozoficzna bądź matematyczna zagadka, która jeśli źle na nią odpowiecie uśmierci was bez wahania, otwierając pod waszymi stopami zapadnię bądź przeszywając was tuzinem strzał. Są tu bezdenne studnie i najeżone kolcami, śmiertelne koła, kamienne krzyżówki z literami po których trzeba prawidłowo stąpnąć i zsuwające się nagle ściany, które może powstrzymać jedynie zastosowanie stojących na stoliku, odpowiednio dobranych chemikaliów. Na tym nie koniec. Nawet jeśli przejdziecie przez śmiertelne pułapki, dojdziecie do wyjścia, przez które przejdzie jedynie najsilniejszy z was. Za nim czeka na was ostatnia próba, ale o niej nic nie mogę powiedzieć. Powodzenia!

I tak rozpoczął się turniej. Pretendenci do ręki królowej ruszyli w głąb labiryntu. Wiele by można pisać o ich zmaganiach, zgadzających się zresztą ze słowami Marszałka. Dość, że niemal co chwila słychać było jęk rozpaczony i piekielne odgłosy ćwiartujących ciała machin, modlitwy, błagania i – niekiedy – triumfalne okrzyki tych, którym udało się dążyć do przodu. Ale tylko jeden śmiały parł przed siebie niczym burza: był to ów niepozorny młodzieniec.

Wreszcie, do głównej sali i zapieczętowanego wielkim głazem wyjścia dotarło kilku zaledwie kandydatów. Nie trzeba dodawać, że niemal natychmiast rzucili się na siebie walcząc zaciekle aż na placu boju pozostał tylko ów niepozorny młodzieniec. Zmęczony, lecz pewny siebie podszedł do głazu, pomedytował chwilę i nagle – lekko go popchnął, a ten usunął się z miejsca. Ruszył przed siebie pewnym krokiem, mrużąc wciąż oczy pod wpływem dawno nie widzianego słońca. Gdy wzrok

przyzwyczał mu się już do światła, ukazała mu się piękna królewna w asyście grona uczonych z przyrządami do mierzenia i ważenia.

– Nie widzę twojej twarzy, jest zbyt ubrudzona po znojach labiryntu – powiedziała królewna. – Zakładam jednak, że musisz być cudnej urody. Są ze mną uczeni, którzy wedle najnowszych prawideł zbadają dokładnie twą urodziwość jak bowiem wiadomo, prawdziwe piękno zawiera się w prawidłowych proporcjach.

– Nie będzie to konieczne – oznajmił młodzieniec. – Spójrz na mnie jedynie pani, przez te niewielkie szkiełko – i po tych słowach wręczył zdumionej królewnie mały, przezroczysty kryształek.

– Cóż to takiego? – spytała królewna.

– To jedyny przedmiot, który pozostał mi po ojcu – odparł młodzieniec z prostotą. – Zwie się Okiem Prawdy. Widać przez niego wyłącznie prawdę, ukazuje też prawdziwą naturę każdego zjawiska i każdego przedmiotu, nic więcej i nic mniej. Dzięki niemu bez trudu przeszedłem przez zasadzki labiryntu, zawsze widząc odpowiednie rozwiązania i w tym była moja, większa od innych mądrość. Gdy doszło do walki, łatwo dostrzegłem wady i słabości moich przeciwników; odsunąłem także głaz widząc dobrze, jak należy go popchnąć bez zbyteń wysiłku i w tym była moja siła, potężniejsza od mocarności innych. Nie muszę chyba dodawać, że ryzyko było wielkie: nie wiedziałem bowiem, czy mizerne szkiełko wystarczy by odnieść sukces, bez niego nie miałbym przecież szans z mocarzami i mędrkami tego świata i w tym też zawierała się moja odwaga.

– Coś takiego... – wyszeptała królewna i niemal bezwiednie przytknęła szkiełko do oka. I wtedy, patrząc na młodzieńca, dostrzegła jego wewnętrzne piękno, przebijające przez skórę niczym najcenniejszy diament, zobaczyła go tak, jak można dostrzec naprawdę każdego z nas,

poznając go w pełni. A ponieważ poznając kogoś całkowicie, trudno go nie pokochać, szkiełko wypadło jej z ręki i rzucała się wybrankowi w ramiona. Dla niej, był bowiem najpiękniejszy.

Ta historia nie kończy się jednak radośnie, tak jak wiele podobnych opowieści. Gdy bowiem zakończył się już pełen przepychu ślub i wesele, szczęśliwi, choć zmęczeni małżonkowie udali się do swoich pokoi. Tam też objęli się czule a królowna powiedziała: – Ukochany! Spójrz i na mnie przez owe cudowne szkiełko, abys mógł pokochać mnie tak mocno jak ja pokochałam ciebie, poznając cię naprawdę!

Młody królewicz uczynił to skwapliwie. Spojrzał na swą ukochaną... i krzyknął z przerażenia.

– To niemożliwe! Twoja ręka, o którą walczyłem... cała spływa krwią! Ciężka, czerwona krew kapie z niej na posadzkę... Cała jesteś we krwi tych, którzy walczyli o to, by cię zdobyć! Nie mogę! Nie mogę patrzeć na tą całą krew!

Krzyknął coś jeszcze i wybiegł przerażony z alkowy, zostawiając płaczącą królownę. I ani jego, ani cudownego szkiełka, nigdy już nie odnaleziono.

# KARZEŁ I DIABEŁ

Dawno, dawno temu, za górami i lasami i przed pierwszą wojną, od miasteczka do miasteczka wędrował wędrowny cyrk.

W cyrku był jeden stary słoń, wyliniały tygrys i wesoła małpka. Były tam tresowane myszy Mistrza Caligari. Były tam skaczące wysoko w górę pchły znające się na matematyce. Był tam też mały konik na którym śliczna wołyżerka wyczyniała trudne akrobacje. Dla dzieci wchodzących pod dach burego, cyrkowego namiotu wyczyny wołyżerki były powodem do krzyków pełnych radości i oklasków. Patrząc, jak mały konik kłusuje dookoła areny cyrku a wołyżerka staje na jego grzbiecie, dzieci zapominały o kupionych przed namiotem cyrkowym lizakach.

W wołyżerce zakochany był cyrkowy siłacz: łysy, o sumiastych wąsach. Siłacz stanowił prawdziwą atrakcję wieczoru! Pod koniec spektaklu wołyżerki wychodził na cyrkową arenę z żelaznym łańcuchem oplątującym całe jego ciało. Siłacz napręzał się i sapał, a kiedy na szyi nabrzmięwały mu żyły, łańcuch pękał z głośnym trzaskiem. Wszyscy krzyczeli wtedy z zachwytem! Popatrzeć na ten wyjątkowy pokaz siły przychodził nawet sam dyrektor cyrku, o którym chodziły plotki że nie ma serca tylko tykający zegarek kieszonkowy.

Zakochany siłacz bardzo długo starał się o względy wołyżerki. Aby zdobyć jej serce wychodził wczesnym rankiem ze swego wagoniku by nabierać dla niej pokrytych poranną rosą polnych kwiatów. A gdy cyrk zatrzymywał się w miasteczku, wydawał ostatnie monety na przepyszne czekoladki. Zanosił je potem wołyżerce w pudełeczku z różową wstążeczką. Czekoladki zapoczątkowały całą tradycję: siłacz i wołyżerka



siadali z nimi pod wagonikiem cyrkowym i patrząc na wschodzące słońce jedli czekoladki jedną po drugiej. Kiedy kończyli, wołyżerka wahała zebrane przez siłacza kwiaty.

Nic co piękne nie może jednak trwać wiecznie. W wołyżerce był bowiem także zakochany paskudny, cyrkowy karzeł. Spał on jednak do południa i nigdy nie przyniósł jej polnych kwiatów pokrytych poranną rosą. Był także bardzo chciwy i nigdy nie kupił jej czekoladek w ładnym pudełeczku. Za to przez cały czas ją zaczepiał i nagabywał, zapraszając do swego cuchnącego alkoholem wagoniku. Jego marzeniem było, by wołyżerka została jego żoną i aby razem urządzali alkoholowe libacje.

Pewnego dnia karzeł był tak nachalny i tak bardzo usiłował zwrócić na siebie uwagę, że wołyżerka powiedziała do niego ze złością:

– Daj mi wreszcie spokój, paskudny karle cyrkowy! Kocham tylko siłacza i zostanę jego żoną!

– Jeszcze zobaczymy! – zagroził karzeł i pomachał zaciśniętą pięścią. Ale nie zrobił nic więcej tylko wściekły poszedł do swojego wagoniku wypić kolejną butelkę śliwowicy.

Zapadła czarna noc. Niebo zakryły chmury, nie widać było gwiazd. O północy zerwał się wicher i niemal przewrócił rozstawiony namiot cyrkowy. Była to paskudna noc, w sam raz do paskudnych uczynków.

Karzeł nie próżnował. Gdy wicher szalał na zewnątrz jego małego wagoniku, wyciągnął starą księgę pokrytą ludzką skórą. Ukradł ją z wagonu dyrektora cyrku, który kupił ją dawno temu od szalonej czarownicy. Księga ta była bardzo niebezpieczna, gdyż zawierała sekret przywołania diabła.

Według jej wskazówek, paskudny karzeł zapalił czarną świecę, a małym nożykiem z czarną rękojeścią naciął sobie serdeczny palec. Kropla krwi kapnęła na srebrną misę migocząc rubinowo w płomyku

świecy. Karzeł nie tracił czasu. Szybko otworzył zakazaną księgę i przeczytał zaklęcie. Zaszumiało i zagrzmiało. Na zewnątrz wagoniku karła zapadła nagle straszliwa cisza, tak jakby wszystko umarło. Świeca zgasła, misa się przewróciła. Karzeł wrzasnął ze strachu i wyrzucił księgę z rąk. Nic to jednak nie dało, bo w wagoniku pojawił się diabeł. Wyglądał on tak okropnie, że serce zamierało a krew zamieniała się w lód. Miał głowę kozła, ciało człowieka, nogi osła i świński tyłek z zakręconym świńskim ogonem. Jego oczy świeciły się na czerwono a owłosione łapy zakończone były czarnymi pazurami.

– Wezwalesz mnie – zabeczał diabeł. – Czego chcesz?

– Chcę żeby wołyżerka należała do mnie! – krzyknął karzeł zamykając oczy, bo bał się patrzeć na diabła.

– Dobrze, niech będzie jak chcesz – zamiauczał diabeł. – Ale wszystko ma swoją cenę! Podpiszesz cyrograf, że jeśli wołyżerka będzie twoja oddasz mi swoją duszę!

Karzeł się zgodził. Ponieważ jednak był pełen nienawiści, powiedział:

– Dobrze, oddam duszę ale mam jeszcze jedno życzenie!

– Jeszcze ci mało? – zaszczekał diabeł. – Czego jeszcze chcesz za swą plugawą duszyczkę, która i tak będzie do mnie należała? Jest bowiem tak zepsuta, że nawet teraz czuję jak cuchnie!

– Najbardziej na świecie nienawidzę siłacza z naszego cyrku! – powiedział karzeł. – To on zabrał mi wołyżerkę! Chcę, by umarł!

– Niech i tak będzie – zaskrzeczał diabeł, po czym podpisali cyrograf. Karzeł nie spał potem całą noc.

§ § §

Następnego dnia miało odbyć się wielkie przedstawienie. Cyrk był pełen dzieci i dorosłych. Stary słoń stawał na tylnych nogach, wyliniały

tygrys gonił tresowane myszy, wesoła małpka żonglowała piłeczkami a pchły rozwiązywały najtrudniejsze matematyczne zadania. Mały konik wołyżerki dostał wysadzane cekinami siodło, a siłacz wziął swój najgrubszy łańcuch. Kiedy wołyżerka wyjechała na swoim koniku, na scenę wyszedł też siłacz. W trakcie jej występu założył na siebie najgrubszy łańcuch i zaczął się napinać, chcąc zerwać choć jedno ogniwo. Wszystkiemu przyglądał się zdenerwowany, paskudny karzeł. Pił od samego rana i ledwo widział przez zamglone śliwownicą oczy.

Łańcuch był bardzo gruby i ciężki! W namiocie cyrkowym zaległa całkowita cisza. Ale siłacz napręzał się i napręzał... wydawało się, że zaraz pęknie! Na jego szyi pojawiły się czerwone, nabrzmiące żyły. Nawet wołyżerka krzyknęła by przestał! Siłacz nie dawał jednak za wygraną. Nagle... rozległ się metaliczny łoskot. To pękł łańcuch! Ogniwa poleciały we wszystkie strony! Zwycięski siłacz uniósł ręce do góry.

Jego radość nie trwała jednak długo! Ucichły krzyki zachwyty ze strony publiczności a w namiocie rozległ się przerażony jęk paskudnego karła.

Obok małego konika leżało martwe ciało wołyżerki. Jedno z ogniw rozerwanego łańcucha trafiło ją w głowę i zabiło na miejscu!

Siłacz widząc to krzyknął... i w tym momencie pękło mu serce.

Nie był to jednak koniec! W namiocie powiało okropnym smrodem, a na arenie pojawił się diabeł. Trzymał w łapach wielki słoik po konserwowych ogórkach. Podbiegł do ciała wołyżerki i nim ktoś zdążyłby powiedzieć „nie dla psa kiełbasa, nie dla kota szperka” pociął je pazurami na małe kawałeczki i upchał do słoika, który włożył w ręce przerażonego karła mówiąc: – Teraz jest twoja!

Ludzie zaczęli uciekać z namiotu. Wybiegł z nimi i karzeł, ścigany śmiechem diabła. Nie mógł wyrzucić słoika, bo ręce przyrosły mu do

szkła. Biegł więc przed siebie dwa dni i dwie noce, aż upadł i wyzionął ducha.

Siedzi teraz w piekle, owinięty płonącym łańcuchem, i wciąż trzyma w dłoniach potworny słoik.

# KSIĘŻNICZKA NAKRĘCANA

Dawno temu, a było to w czasach, gdy kruki potrafiły jeszcze mówić, w starym i zrujnowanym zamczysku, sędziwy wynalazca stworzył nakręcaną księżniczkę.

Istnieje wiele wersji tej samej historii, ale my oczywiście opowiemy tę prawdziwą. Księżniczki nie skonstruował zatem oszalały po stracie ukochanej czarownik, nie została też odnaleziona w ołowianej skrzyni przez wioskowego głupka, który pokochał ją, lecz nie mógł uruchomić. Prawdziwa opowieść o księżniczce jest nieco smutniejsza, ale prawda często bywa właśnie taka.

Zamek wynalazcy mieścił się na starym klifie, pod którym, głęboko w dole, szalały wzburzone fale zapomnianego, zielonego morza. Uderzały o mokre skały rozbryzgując się w pianę, a nad wodą latały rybitwy. Nocą słychać było szum i westchnienia morza, a może nawet odległe śpiewy obłąkanych syren. Tą morską drogą nie przepływały jednak żadne statki, brakowało nawet latarni morskiej. Było tak dlatego ponieważ na północy znajdował się kraj wiecznej zimy o lodowym wybrzeżu, śnieżnych górach i zamarzniętych salach i grotach. Nikt tam nie mieszkał, nikt zatem tam nie płynął.

Wynalazca w starej posiadłości swych przodków chciał dokonać ostatnich dni. Mówił, że na stare kości nie ma nic lepszego nad morskie powietrze. Tak przynajmniej powtarzał spotkanym w trakcie spacerów mieszkańcom leżącego poniżej miasta. Jego władca nie był zainteresowany rozpadającą się kupą zamkowego gruzu i pozwolił wynalazcy w nim mieszkać. Ten zresztą szybko zdobył serce monarchy, konstruując dla niego mechanicznego złotego pająka. Bestia, wielka jak

arbuza, biegała za królem wszędzie z głośnym stukotem ośmiu złotych nóg. Za piękną zabawkę wynalazca otrzymał Order Monarszego Miłosierdzia – największe odznaczenie dla osoby spoza królewskiego dworu.

Wynalazca, jak każdy człowiek jego pokroju, z pewnością był odrobinę szalony. Mieszkańcy królestwa widzieli go czasem – dystygowanego i ubranego w zgrzebny frak, podpierającego się perłową laseczką – jak spaceruje po okolicznych dróżkach uśmiechając się do siebie. Czasem zatrzymywał się zniecierpliwiony przy kamieniu, aby go pogłaskać lub dźgał końcem laseczki leżące przy drodze truchło, niebywale zainteresowany odkryciem. Przepadał także za dziećmi i czasem częstował je piernikami, o ile nie zawracały mu nadmiernie głowy. Niekiedy siadał nad brzegiem morza i kruszył te same pierniki dla ptaków mruczając coś do siebie i rysując dziwne znaki na piasku. Ale najbardziej lubił wychodzić wieczorem, gdy na nocne niebo wypływał wielki księżyc. Patrzył wtedy na niego znów nucąc coś do siebie, podczas gdy z pękniętej wieży zamku buchały kłęбки gęstej pary. Był to oddech skonstruowanych w zamku maszyn, które wynalazca uruchamiał nocą, a które zajmowały dwie wielkie zamkowe sale.

Nakręcana księżniczka miała być ostatnim dziełem wynalazcy. A zbudował ich wiele podczas swojego życia. Spod jego ręki wyszło wiele mechanicznych stworzeń, ptaków i owadów czy grających kwiatów. Zbudował też kilka maszyn zniszczenia na rozkaz króla: plujących we wrogów państwa żrącymi kwasami i siekających ich na kawałki *perpetuum mobile*. Z tych ostatnich dzieł wynalazca nie był zadowolony, ale nawet one wyglądały pięknie – jak wszystko co skonstruował. Te śmiercionośne twory i inne urządzenia, które przeszły do legendy jak Latający Fotel czy Kulka Marzeń – o których opowiemy może w innej

historii – były jednak niewiele warte w porównaniu z nakręcaną księżniczką.

Materiały, z których księżniczka została skonstruowana, były najdelikatniejszymi i najbardziej wyszukаныmi surowcami. Księżniczka zbudowana została na koszt państwa. Ufundowano klejnoty, które wynalazca wyszlifował tworząc z nich cienkie żyłki. Miała nimi popłynąć błękitna krew księżniczki, spełniająca rolę smaru do maleńkich, zębatych kółek poruszających jej sercem. Jej piękną, błyszczącą skórę wynalazca stworzył ze specjalnie opracowanej i wytrzymałej jak stal substancji, do której sporządzenia wynalazca wykorzystał najsmaczniejsze na świecie ciasta.

Paznokcie wykroił ze starannie oszlifowanej masy perłowej, włosy upłócił z najcieńszych, platynowo–złoty drucików, a usta wyrzeźbił z miękkich, czerwonych rubinów, które poddał wcześniej obróbce w wulkanicznym ogniu. Nikt nigdy się nie dowiedział, z czego wynalazca zbudował oczy księżniczki będące, jak powiada przysłowie, zwierciadłem duszy. Niegodziwi ludzie mówili, że one jedne były w księżniczce prawdziwe i że wynalazca ukradł je z poświęconego cmentarza. Było to jednak kłamstwo, gdyż wielki twórca nigdy nie popełniłby tak nikczemnego czynu.

Największym wyzwaniem było jednak samo serce, odpowiedzialne za działanie całego mechanizmu: gdybyś przyłożył ucho do piersi księżniczki, usłyszałbyś jego ciche, miarowe tykanie. Serce stanowiło zresztą poważny problem: aby księżniczka działała, trzeba je było co trzy dni nakręcać kluczykiem i nawet wielkiemu wynalazcy nie udało się przekroczyć tego terminu. Nienakręcona księżniczka zwalniała nagle, światło gasło w jej tajemniczych oczach i stawała bez ruchu, zimna nagle i martwa jak zapomniany mechanizm, do czasu kolejnego nakręcenia.

Aby zbudować myślącą maszynę nie wystarczyło wszakże wyposażyć jej w serce. Ponieważ nakręcana księżniczka miała być pięknym dziewczęciem, a nie małym dzieckiem, wynalazca zawarł na dziurkowanych, platynowych tasiemkach obracających się w jej główce nieco podstawowych informacji związanych z *savoir vivre*, kulturą i sztuką oraz metafizyką. Nie chciał jednak, aby jego dzieło było tylko powtarzającym wydziurkowane lekcje bezmyślnym mechanizmem – dlatego do czaszki księżniczki wprowadził też kilka niewielkich, diamentowych rysików. Połączone z oczami i uszami księżniczki dopisywały one nowe informacje i wykreślały te, które uznała za niepotrzebne. Była więc jedyną istotą na świecie, która, jeśli chciała, mogła zapomnieć dowolną rzecz na zawsze i bezpowrotnie. Mogła też zapamiętać wszystko tak trwale, że nie umykał jej nawet najdrobniejszy szczegół. Do dziś wielu uczonych zastanawia się czy gdyby wynalazca nie stworzył tej możliwości, historia księżniczki nie potoczyłaby się zupełnie inaczej. Nas interesuje jednak, jak się potoczyła, a całą gdybanie pozostawiamy bajkopisarzom.

Myli się ten, kto sądzi, że księżniczka została nakręcona pewnego dnia i dzień ten był jej pełnym przebudzeniem. W zamkowej pracowni jako pierwszą wynalazca uruchomił jej piękną, choć łysą jeszcze, głowę. To wtedy, dzięki podłączeniu do niewielkiej parowej maszyny, księżniczka odbyła pierwszą rozmowę ze swym twórcą który obiecał jej, że już niedługo otrzyma piękne ciało i będzie mogła chodzić na swoich własnych nogach.

– Czy moje ciało będzie takie jak twoje, ojczy? – spytała wówczas księżniczka. Wynalazca pomyślał o swojej starości i starym, zużyтым fraku i uśmiechnął się tajemniczo.

– Twoje ciało – powiedział – będzie znacznie piękniejsze. Wielu



mężczyzn będzie cię pragnąć, ale musisz pamiętać, że wiążąc się z nimi skażesz ich na ból i samotność, gdyż oni będą się starzeć, a ty pozostaniesz wiecznie młoda i wiecznie piękna, jeśli tylko będziesz dbać o siebie i nie pozwolisz, by coś cię uszkodziło. Nie sądzę jednak by do tego doszło, stworzyłem cię bowiem z najdoskonalszych materiałów.

– Co to znaczy, że się zestarzeją? – spytała księżniczka, ale wynalazca powiedział, żeby nie zaprzętała sobie tym ślicznej główki. Księżniczka zapamiętała jednak tę rozmowę i nigdy nie wyrzuciła jej z mechanicznej pamięci.

Nadeszła wiosna, potem lato, jesień i wreszcie mroźna zima. Skrzący się miliardami rozbłysków śnieg pokrył stare zamczysko, a z lodowej krainy leżącej za morzem nadleciały zimne wiatry. W pracowni, nachylony nad nieukończonymi jeszcze częściami księżniczki, wynalazca poczuł chłód pomimo jasno płonącego drewna w zamkowych kominkach. Zamek był zbyt dziurawy, aby zatrzymać ciepło: przez okna przesłonięte jedynie starymi zasłonami, dostawały się lodowate podmuchy i wpadał śnieżny puch. Wierny i jedyny sługa wynalazcy pozamykał część sal, które zmieniły się w lodowe jaskinie lśniące od wielkich sopli zwisających z sufitu niczym stalaktyty. Złorzeczące z powodu zimy kruki nadaremnie stukały dziobami do pozamykanych drzwi zamku, za którymi niegotowa jeszcze księżniczka stawiała swe pierwsze kroki. Nie przeszkadzało jej zimno ani nagość, stąpała tylko powoli i ostrożnie po kamiennej posadzce, nachylając się niekiedy by – podobnie jak wynalazca na swoich spacerach – dotknąć czegoś i poczuć, że dana rzecz jest. W ten sposób przeszła do odleglejszych korytarzy zamczyska i po raz pierwszy, przez otwarte okna, zobaczyła zimowy świat. Wydał się on jej piękny i stały jak ona sama, niezmienny.

Taką zauważył ją kruk, który wylądował na parapecie zamku. Czarne

ptaszysko nie mogło nadziwić się zjawisku jakim była księżniczka, dlatego dreptało z nóżki na nóżkę.

– Kuriozum! – skrzeczał kruk. – Kuriozum!

– Ktoś ty jest? – spytała księżniczka. – I kto cię nakręca?

Oburzony kruk nie odpowiedział jednak na jej pytanie tylko odleciał, wciąż skrzecząc i rzucając wyzwiska. To spotkanie księżniczka uznała za wyjątkowo istotne i zdecydowała nie wyrzucać go z pamięci. Podobnie zapamiętała krople tańczące na ostrzach błyszczących sopli pokrywających kamienie zamku oraz wiosnę, która roztopiła je i zmieniła w brzydkie, niestałe kałuże.

I to właśnie tej wiosny księżniczka została ukończona i przyodziana w prawie tak piękne jak ona stroje. Wtedy też wyszła na jaw jej konstrukcyjna wada, której wynalazca nie potrafił usunąć, gdyż stanowiła część jej samej i bez niej księżniczka nie byłaby sobą.

Zdarzyło się to trzeciego dnia od pierwszego spaceru wynalazcy i księżniczki po okolicy zamku. Wtedy też wynalazca pozwolił swojemu tworowi oddalić się samotnie, by mógł on lepiej poznać świat. Księżniczka szybko wróciła do zamku. W delikatnych dłoniach trzymała martwą, polną myszkę.

– Pogłaskałam ją i przestała działać – powiedziała. – Nakręć ją, ojciec. Nigdzie nie znalazłam jej kluczyka.

– Myszy nie można nakręcić – powiedział wynalazca. – Nigdy nie będzie już działać. Chwyciłaś ją za mocno w swoje mechaniczne dłonie, moja maleńka, i uciekło z niej życie.

– Więc złapmy je i wsadźmy z powrotem – zdecydowała nakręcana księżniczka.

– Tego się zrobić nie da – westchnął wynalazca. – Musisz się przyzwyczaić, że żywe istoty umierają i nigdy nie powrócą. Mogą

przestać działać w każdej chwili, ale nie jest w naszej mocy ponownie ich nakręcić. Kiedy odchodzą, ich ciała psują się i niszczeją, aż nic z nich nie pozostaje prócz pyłu, który rozwiewa wiatr.

– Zostaje więc pył? – upewniła się księżniczka.

– Niekoniecznie. Ludzie wierzą, że z ich ciał ulatuje dusza – odpowiedział wynalazca choć wiedział, jakie pytanie zada mu zaraz księżniczka. – A dusza jest pamięcią ich życia, czymś lekkim i trwałym jak marzenie. Gdy się uwolni, wraca do większego niż ja Wynalazcy, którego nie można zobaczyć dopóki się żyje, a który zbudował ich wszystkich, także i mnie.

Księżniczka milczała długo po słowach ojca, aż zapytała, czy i ona ma duszę. Wynalazca odpowiedział, że według niego duszę ma wszystko co żyje, a więc i polna myszka. Ale to, czy księżniczka żyje, nie zostało rozstrzygnięte.

Mijały lata. Nakręcana księżniczka uczyła się o świecie i życiu z wielkiej, zamkowej biblioteki. Nie wszystkie z przeczytanych książek uznała za istotne i te wyrzuciła ze swojej pamięci. Nie było to jednak zbyt mądre, ponieważ nie pamiętając, że już je przeczytała, wracała do nich ponownie. Dopiero gdy wynalazca zwrócił jej na to uwagę, zaczęła oznaczać przeczytane woluminy pisząc na ich temat drobne notatki. Książki łatwo było jej zaklasyfikować jako godne lub niegodne zapamiętania, jednak wychodząc na zewnątrz nie wiedziała, co stanowi wartość, a co nie – zapamiętywała więc wszystko.

I tak upłynęło sto lat.

Księżniczka została sama w zrujnowanym i zapomnianym zamczysku. Najpierw stary sługa, a potem wynalazca odszedł od niej którejś mroźnej zimy, podczas snu. Księżniczka długo trzymała go za rękę. Pomyślała, że mogłaby go zapomnieć, by nie pamiętać, że kiedyś nie była sama. Szybko

odrzucała jednak tę myśl – chciała zapamiętać wynalazcę i postanowiła, że od tej pory niczego już nie wyrzuci ze swojej mechanicznej pamięci. I tak też się stało.

Wiele lat zajęło księżniczce przyzwyczajenie się do samotności. Jak dawniej spacerowała po przestronnych salach zamku, nasłuchując wiatru pomiędzy kamieniami i patrząc przez okna na zmieniający się świat. Nic nie było już takie samo jak dawniej. Zmieniało się także królestwo i księżniczka pewnego dnia postanowiła – po raz pierwszy – odwiedzić miasto i zobaczyć rynek. Wynalazca, utrzymując istnienie księżniczki w sekrecie, nigdy jej do niego nie zabrał. „Nie jesteś jeszcze przygotowana”, mawiał, gdy prosiła go, by poszli tam razem. „Kiedyś pójdziesz tam sama”, odpowiadał wtedy.

– Być może ten czas wreszcie nadszedł – pomyślała i zakładając jedną ze skromniejszych sukni, opuściła zamek i jego okolicę po raz pierwszy w swym nakręcanym istnieniu.

Miasto wydało się jej wspaniałe. Widząc jego dostojne mury, brukowane ulice, wieże, kamienice i – przede wszystkim – ludzi, po raz pierwszy od śmierci wynalazcy nakręcana księżniczka miała towarzystwo. Mieszkańcy zatrzymywali się, patrząc na nią i wytykając palcami. Jej piękność była bowiem tak rzadkiej i cennej próby jak marzenie w sercu wynalazcy – była wyjątkowa jak przebiśnieg. Ale księżniczka nie słyszała tęsknych westchnień. Wszystko co ją otaczało zdawało się jej o wiele piękniejsze od niej. Każdy, najmniejszy nawet drobiazg, cieszył ją i zapamiętywała go na zawsze.

Od tej pory księżniczka często wracała na rynek, a ludzie ją pokochali. Nie było bowiem człowieka, z którym nakręcana księżniczka nie porozmawiałaby choć przez chwilę lub któremu nie pomogłaby w nagłej potrzebie. Każda z ludzkich istot wydawała się jej wyjątkowo piękna,

ulotna i słaba. Z każdą pragnęła pozostać na zawsze, by obserwować ją i zapamiętać. Ludzie nie przestawali jej zadziwiać.

Wkrótce o pięknie i dobroci księżniczki doszły słuchy do królewskiego pałacu. W tamtym czasie królestwem rządziła stara królowa, która wezwała księżniczkę do siebie. Na wieść o wizycie tajemniczej piękności zebrał się cały królewski dwór. Damy, skryte za purpurowymi wachlarzami, stojące w kolumnowej sali audiencyjnej i panowie z połyskującymi mieczami u pasa szeptali w podnieceniu, gdy nakręcana księżniczka, ubrana z tej okazji w jeden z najpiękniejszych strojów, przestąpiła próg. Milczała tylko stara, siedząca na tronie królowa. Monarchini miała już słaby wzrok i odezwała się dopiero, gdy księżniczka podeszła bliżej.

– Jak masz na imię, dziecko? – spytała.

– Niestety nie wiem, Wasza Wysokość – odpowiedziała nakręcana księżniczka. Królowa uśmiechnęła się (gdyż słynęła ze swojego łagodnego usposobienia) i powiedziała: – Nie wiesz? Wszystko co żyje, ma jakieś imię, kochanie.

– Niestety nie wiem też, czy żyję, Wasza Wysokość – odpowiedziała księżniczka i wyciągnęła swój kluczyk. – Nie jestem prawdziwa, lecz nakręcana.

Przez kolumnową salę przebiegł szmer. Damy i panowie dworu podejrzewali, że księżniczka obraża królową niestosownymi żartami. Młody syn królowej, będący krewkim młodzieńcem, wyciągnął w oburzeniu swą małą szabelkę. Ale monarchini podniosła tylko dłoń, a szepty ucichły.

– Słyszeliśmy o żyjącym dawno temu wynalazcy, który tworzył piękne dzieła – powiedziała królowa. – Jedno z nich, wyglądające jak szczerozłoty pająk, choć zepsute, wciąż leży w naszym skarbcu za szkłem

w specjalnej gablocie. Powiedz mi moja droga, czy jesteś dzieckiem owego wynalazcy?

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiedziała jej księżniczka. – On mnie wymyślił i złożył.

Królowa z zadowoleniem pokiwała głową.

– Wiedz, że jesteś najpiękniejszą istotą, jaka została kiedykolwiek przez niego stworzona i jaką widzieliśmy w całym naszym życiu – oznajmiła. – Od dziś zostaniesz więc z nami na królewskim dworze. Będziesz dotrzymywać nam towarzystwa, a twoja obecność będzie świadczyła o potędze naszego kraju. I choć jesteś nakręcana słyszeliśmy, że twoje serce jest pełne dobroci i miłości. Jeśli to prawda, taką samą dobroć i miłość spotkasz i z naszej strony. Nadajemy ci zatem tytuł Księżniczki Nakręcanej, a tytuł ten będzie także twoim imieniem.

Po ogłoszonym w ten sposób królewskim edykcie dla księżniczki wszystko się zmieniło. Zamieszkała w królewskim pałacu, tak bardzo różniącym się od jej starego zamku (który został zresztą szybko wyremontowany i pomalowany). Decyzją monarchini szczątki wielkiego wynalazcy miały zostać przeniesione do królewskiego mauzoleum, ale – ku jej zdziwieniu – nie zostały one odnalezione w zamkowym grobowcu. Zamiast tego, królowa postawiła mu zatem spiżowy pomnik i ogłosiła bohaterem narodowym.

Płynęły lata i były one szczęśliwe dla Księżniczki Nakręcanej. Kochał ją cały dwór i szczylił się jej obecnością, a z całego kraju przychodziły listy z błaganiami o jej rękę pod groźbą samobójstwa. Księżniczka odrzucała anonse jak najuprzejmiej tłumacząc, że jak najwięcej czasu pragnie poświęcać królowej, a także wyznając, że jako Księżniczka Nakręcana, a więc w pewnym stopniu sztuczna, nie mogłaby dać mężowi dziedzica. Listy jednak nigdy nie ustały, a młody syn królowej, będący już

pełnoprawnym królewiczem, sam zaczął zabiegać o jej względy – nic jednak nie mógł wskórać.

A potem znów nadeszła zima i była to ostatnia pora roku dla starej królowej. Umierająca monarchini wezwwała księżniczkę przed swoje oblicze i pożegnała się z nią, mówiąc: – Kochanie, nigdy nie spotkaliśmy kogoś tak żywego, jak ty. Zawsze o tym pamiętaj.

Po śmierci królowej cały królewski dwór pogrążył się w żałobie, a nakręcana księżniczka długo patrzyła na swój kluczyk, którym musiała nakręcać swe serce raz na trzy dni. Pamiętała jednak słowa królowej i to wystarczyło, by schowała go do skrytki przy swojej lewej piersi.

Zdawało się, że ze znajdujących się za morzem lodowych krain przybył większy niż zwykle chłód. Niebo stało się zimne i szkliste, a domy królestwa wyglądały jak wyciosane z kryształu. Ubrana w czarne stroje księżniczka wędrowała po pałacu samotnie, mijając dworzan, którzy płakali z powodu utraty królowej. Myślano o tym, by zaproponować jej tron, była jednak nakręcana, a królestwo miało już prawowitego dziedzica. Gdy królewicz koronował się na władcę, ze zdwojoną mocą zaczął czynić księżniczce anonse, ta jednak usunęła się z pałacu, powracając do swego zamku. Ministrowie nowego króla szybko wyperswadowali mu ożenek z mechaniczną pięknnością. Po raz pierwszy fakt, że nakręcana księżniczka nie mogła mieć potomstwa, zadziałał na jej korzyść.

I tak upłynęło kolejne sto lat, a może nawet więcej, kto wie. Świat zapomniał o nakręcanej księżniczce. Zamek wynalazcy znów zaczął się rozpadać, a królestwo pogrążyło się w wojnie.

Do zamkniętej w zamku księżniczki dochodził lament i odgłosy wybuchów. Wiele razy opuszczała bezpieczne mury próbując pomóc oblężonym, ale nigdy nie była szkolona w trudnej sztuce walki. Na

szczęście jej zamek nie posiadał dla wroga strategicznego znaczenia, a broń nieprzyjaciela nie mogła jej zaszkodzić.

Wojna skończyła się wreszcie i znów upłynęło wiele lat. Nakręcana księżniczka, wciąż piękna i niezmienna trwała, patrząc na zmieniający się świat. Straciła poczucie czasu i pozwalała, by lata płynęły obok niej jak woda z roztopionego lodu, co było jednym z pierwszych wspomnień, które zapisała w pamięci diamentowym rysikiem.

W końcu jednak samotność znów zaczęła jej doskwierać. Dlatego też, z twarzą ukrytą za ciemnym woalem, ponownie zaczęła wybierać się na spacer i odwiedzać miasto, które bardzo zmieniło się w przeciągu tak długiego czasu. Na ulicach pojawiły się tajemnicze, warczące złowrogo pojazdy i wielkie, rozświetlające noc latarnie. W oknach domów błyskało niebieskawe, tajemnicze światło, a z wielu miejsc dobiegały odgłosy hałaśliwej, nieznośnej muzyki. Tylko ludzie pozostali tacy sami: nadal piękni i nadal ulotni. Rozmawiała z nimi, pytając o świat i o nich samych i choć część śmiała się z jej naiwności i stroju, chętnie odpowiadano na jej pytania. Tak jak zawsze trafiły się i osoby niegodziwe, pragnące wykorzystać jej ufność – księżniczka istniała już jednak zbyt długo i przeczytała zbyt wiele książek, by nie wyczuć ludzkiej nieszczerości. Nie dała się oszukać.

W mieście zaczęto mówić o tajemniczej postaci okrytej ciemnym woalem. Obrosła szybko legendą, a ponieważ zauważono, że mieszka w ruinach na klifie, zaczęto snuć na jej temat rozmaite historie. Ludzka ciekawość, głodna i przekarmiona zarazem, tym razem postanowiła nie dać jej spokoju. O księżniczce zaczęły krążyć okropne opowieści, a ktoś w starych archiwach miasta odnalazł wzmianki o obłąkanej, starej maszynie udającej kobietę.

Na pewno znane wam są różne wersje samej tej historii jak i jej końca,



również i te, w których jasno płonie ogień nienawiści. Naprawdę jednak opowieść ta kończy się nie w płomieniach, lecz w lodzie.

Pewnego dnia chłopiec, jeden z mieszkańców miasta, dręczony ciekawością podkraść się pod ruiny. Skryty w wysokiej trawie zauważył, że zakryta czarnym woalem księżniczka schodzi zboczem na sam dół klifu, do zimnych gładów obmywanych falami morza. Zobaczył, że czeka tam łódka, a w niej okryty szarym płótnem żaglowym pakunek o kształcie ludzkiego ciała. Chłopiec długo stał przy brzegu patrząc, jak łódka znika za horyzontem płynąc w kierunku lodowych krain.

Tego samego dnia on i kilku innych mężczyzn postanowili odkryć kim jest tajemnicza postać i dokąd się udaje oraz – co najistotniejsze – co takiego z sobą zabiera. Nie czekali długo. Gdy księżniczka ponownie wybrała się w podróż, ruszyli za nią żaglowcem.

Płynęli bardzo długo, aż ujrzeli kamienne zęby zimowej krainy. Ich statek z trudem omijał lodowe kry, śledząc mały punkcik łodzi. Wyczerpani dotarli jednak na miejsce i ruszyli przemarznięci za księżniczką po twardym jak skała śniegu. W ten sposób doszli do zbocza lodowych gór i jaskiń, wśród których zniknęła. Zapalili więc latarki i ruszyli w głąb zimnych pieczar.

Jakie było ich zdziwienie gdy spostrzegli, że jaskinie płoną pięknym światłem odbitego w soplowych stalaktytach słońca! Ich kroki dźwięczały szklanym echem i wiele razy zatrzymywali się, oszołomieni pięknem lodowych grot. Zachwyt ustąpił jednak przerażeniu, gdy w jednej z sal ujrzeli leżące ciało mężczyzny, a obok niego, szare żaglowe płótno. Poznali ciało. Należało ono do ich dobrego sąsiada, który zmarł kilka miesięcy temu. Wściekli pobiegli do przodu, krzycząc i złorzecząc.

Nie szukali długo swej ofiary. Księżniczka stała w jednej z lodowych grot, spokojna, jakby czekając na ich przybycie. Najodważniejszy z

mężczyzn podbiegł do niej i popchnął w gniewie. Upadła na lodową posadzkę, a z jej skrytki przy sercu wypadł kluczyk. Wściekły napastnik zmiażdżył go w dłoni i zdarł woal z twarzy księżniczki. Staął w tym momencie bez ruchu, sparaliżowany widokiem jej piękności. Z dłoni pozostałych wypadły latarki. Nie mogli się poruszyć, niepewni już, czy dobrze uczynili krzywdząc kogoś o tak wyjątkowej urodzie.

Milcząca księżniczka wstała i patrząc na nich smutnymi oczyma powoli odwróciła się i ruszyła przed siebie. Poszli za nią jak zauroczeni, gdy stawiała coraz wolniejsze kroki. Mijał bowiem czas jej nakręcenia i jej serce powoli zamierało.

W ten sposób dotarli za nią do najwspanialszej z lodowych grot. Była przestronna i ociosana, jakby ktoś przez długie lata pracował nad jej wyglądem. Wieczne sopte pokrywały piękne ornamenty, a z lodowych bloków wyrzeźbiono delikatne jak pajęczyna drzewa, fragmenty zapomnianych budynków i krajobrazów. Nie to było jednak najpiękniejsze i najdziwniejsze zarazem, bo wszędzie wokół tkwiły bez ruchu stojące, siedzące i ustawione w rozmaite pozy zamrożone ciała ludzkie: stałe, piękne i niezmiennie.

Na przybyłych z lodowego tronu patrzyła z powagą zapomniana monarchini. Wyglądała jak żywa i skrzyła się iskrami lodowych diamentów. Tuż obok niej stał z oczami utkwionymi w sklepienie zapomniany przez czas wynalazca, w pięknym fraku, podpierając się perłową laseczką. Przed tronem lodowymi kulami bawiły się dzieci, które umarły przed wiekami wskutek zarazy. Dawni, zmarli w czasie wojny mieszkańcy przechadzali się po brukowanych ulicach tego zimowego królestwa. A było to królestwo, ciągnące się niezliczonymi grotami i salami, jedyne królestwo w którym i miłość i śmierć zamieszkały razem.

A Księżniczka Nakręcana przeszła jeszcze kilka kroków i usiadła na schodach pod tronem królowej, obok swojego ojca. Wtedy dopiero zamarła, bo jej serce przestało tykać na zawsze. I nikt, już nigdy, nie potrafił go nakręcić.

# ŻELAZNE ZĘBY

Dawno, dawno temu w czarnej wieży na skraju lasu mieszkała mała dziewczynka.

Las był wielki, gęsty i mroczny. Mieszkały w nim gotujące ludzkie mięso w kotłach czarownice i wielkie, czarne koty. Po zagajnikach biegały wilkołaki a szare pająki snuły kleiste, grube sieci pomiędzy gałęziami drzew.

Nad tym wielkim, mrocznym lasem nigdy nie wstawało słońce. Na niebie usłanym kropami błyszczących i zimnych gwiazd królował tylko księżyc. Był wielki i pyzaty a w jego świetle wszystko wyglądało niczym pokryte perlistą rosą.

Dziewczynka rzadko wychodziła z wieży. Nikt jej nie pilnował i nikt nie zabronił jej wychodzić. Wychodziła więc na zewnątrz, zamykając wielkie drzwi do wieży na srebrny klucz.

Pod wieżą rozpościerał się niewielki cmentarzyk pełen próchniejących nagrobków. Rosły tam chwasty, zioła i kaczeńce. Dziewczynka zbierała tam rośliny z których później gotowała ciekawą zupę. Zupy zwykle nie starczało, bo musiała nią nakarmić kota Tyhlega, szczura Yblega i pajęczycę Adelię. Dziewczynka była zawsze, zawsze głodna. Wiedziała, że musi nakarmić pupili bo jeśli nie nakarmiła choć jednego z nich to zakradał się on nocą do jej łóżka i wysysał z jej małego palca u nogi odrobinę krwi.

Kiedy nad mrocznym lasem i czarną wieżą zapadał zmierzch, pełniący w tej odległej krainie rolę dnia, dziewczynka wchodziła na sam szczyt wieży i patrzyła na świat przez niewielkie okienko bez krat. Było na co

popatrzeć – aż po horyzont ciągnęły się czubki czarnych drzew by zatonać wreszcie w gęstej mgle.

Pewnego dnia, kiedy dziewczynka zbierała zioła na kolejną zupę, na cmentarzyk pod wieżą podeszła zgarbiona staruszka. Starowinka była maleńka i miała świecące, małe oczka. Opierała się na cienkiej, wątłej laseczce i zdawała się patrzeć czujnie na małą dziewczynkę.

– Co tu robisz, moja malutka? – spytała staruszka skrzekliwym głosem.

– Zbieram zioła na cieką zupę dla mnie, kota Tyhlega, szczura Yblega i pajęczycy Adelii – odpowiedziała dziewczynka.

– A dasz mi troszeczkę?

– Nie mogę babciu, bo inaczej nie starczy dla wszystkich. A jeśli nie starczy dla jednego z moich pupilków to ten, którego nie nakarmię zakradnie się w nocy do mojego łóżka i wyssie mi z małego palca u nogi odrobinę krwi.

– Daj mi tylko troszeczkę – poprosiła babcia. – A jeśli dasz mi choć kropelkę, to dam ci w zamian moje żelazne zęby.

– A po co mi twoje żelazne zęby, babciu? – zdziwiła się dziewczynka.

– Dawno temu dostałam je od dobrego staruszka, zwanego Świętym Mikołajem – wyznała staruszka. – To bardzo mocne zęby i jeśli któryś z twoich pupilków będzie chciał cię ugryźć w palec u nogi, to pogryziesz go nimi na pół!

Od słowa do słowa – i dziewczynka zgodziła się poczęstować starowinkę. Babuleńka wypła tylko kropelkę zupy i zanim odeszła, zostawiła żelazne zęby.

Tej nocy, dziewczynka zostawiła resztkę zupy dla ulubieńców i poszła do łóżka. Tuż przed snem założyła żelazne zęby i przejrzała się w pękniętym lusterku. Kiedy odchyliła wargi, wyglądała naprawdę upiornie. Żelazne zęby ledwo mieściły się jej w ustach cieszyła się więc

na myśl, że teraz już nikt nie wyssie jej odrobiny krwi z palca u nogi. Położyła się do łóżka i zgasiła świecę.

W środku nocy na dworze rozpętała się burza. Wiatr łamał czarne drzewa, uderzały błyskawice. Na cmentarzyku spacerowały przezroczyste dusze zmarłych. Dziewczynka spała jednak jak zabita.

W lesie chichotały wilkołaki i wyły stare wiedźmy. Czarne wiewiórki łupały orzechy. Dziewczynka spała jednak jak zabita.

Skrzypiała brama od cmentarza, wiatr uderzał drzwiami od wieży. Piszcząły źle naoliwione zawiasy. Dziewczynka spała jednak jak zabita.

Nagle – szur, szur! Szur, szur – to ktoś szedł korytarzem wieży, stąpał po maleńkich schodkach na górę. Czy był to kot Tyhleg? Czy był to szczur Ybleg? A może pajęczycza Adelia?

Złowrogi cień nachylił się nad dziewczynką. Ale była ona sprytna i nie otworzyła nawet oczu.

Cień nachylił się cicho oddychając. Myślał, że dziewczynka śpi mocnym snem. Kiedy nachylił się jednak bardziej, dziewczynka rozchyliła lekko wargi i przejechała językiem po wielkich, żelaznych zębach. Nie mogła się doczekać, aż cień przysunie się bliżej.

Uderzyła błyskawica, przez las przetoczył się grom. A dziewczynka szarpnęła się do przodu i z całej siły ugryzła napastnika. W ustach poczuła smak kwaśnej krwi i usłyszała nieludzki wrzask. Nie zwlekając szybko zeskoczyła z łóżka i zapaliła świecę. Obok łóżka leżał ciemny kształt.

Niestety nie był to kot Tyhleg. Niestety nie był to szczur Ybleg. Niestety nie była to pajęczycza Adelia.

Na ziemi leżał piękny królewicz z odgryzioną żelaznymi zębami twarzą. Miał na sobie błyszczący, świetlisty strój, a jego włosy wyglądały na utapirowane niczym u egzotycznego ptaka. Zakradł się w nocy do

dziewczynki, gdyż chciał ją obudzić pocałunkiem.

Biedna dziewczynka! Było jej bardzo smutno. Zachowała jednak żelazne zęby a kawałki twarzy królewicza dała do zjedzenia kotu Tyhlegowi, szczurowi Yblegowi i pajęczycy Adalii. Po raz pierwszy zwierzątka zjadły coś więcej niż tylko cienką zupkę. A ciało królewicza dziewczynka zakopała w cmentarzyku pod wieżą.

Tak samo, jak wiele innych.

# ZUZANNA I WILK

Stare drzewa w naszym lesie, omszałe kamienie i zapomniane strumyki opowiadają historię o Zuzannie.

Nie jest ją łatwo usłyszeć. Możesz wejść głęboko w naszą puszcę i przytknąć ucho do kory, ale dobiegnie do ciebie tylko szum lasu i ciche szepty zamieszkujących drzewo stworzeń. Możesz upić łyk wody z leśnego strumienia, ale nie jest powiedziane że wyczujesz smak dawnej opowieści. Możesz chwycić w dłoń zimny kamień z dna tego strumienia, ale wychwycisz tylko rozbiegane i krótkie rybnie myśli.

Jest tylko jeden sposób, aby dowiedzieć się tej historii – trzeba przeczytać ją teraz.

Opowieść rozpoczyna się w czasach gdy pomiędzy zwykłymi drzewami rosły inne: wielkie, poskręcane i bardzo stare. Były to Pierwsze Drzewa, pamiętające pustą jeszcze ziemię i dotyk tajemnej Mocy, która powołała je do życia. Pamiętając o niej, gdy zapadała noc, wznosiły konary w kierunku księżyca i poruszały się lekko, trzeszcząc w języku gałęzi. Niektóre miały wiele do powiedzenia o mrocznych wodach pod korzeniami i zakopanych szczątkach. Inne śpiewały tubalnym głosem o słońcu, które usypiało je za dnia świetlistymi promieniami. A jeszcze inne mówiły o dziwnych, dwunożnych stworzeniach wchodzących w puszcę ze złowrogimi siekierami.

– Wyrrywają sobie korzenie! – szumiały z oburzeniem drzewa. – I nazywają to chodzeniem! Paskudztwa z oślizgłą korą!

– Chcą naszej kory, bo nie mają własnej!

– Ich liście są wiotkie i cieńsze od trawy! Paskudztwa!



– Niedrzewa!

Ale pomimo protestów Pierwszych Drzew, Niedrzewa zadomowiły się blisko puszczy kalecząc ją siekierami i płosząc zamieszkujące ją stworzenia. Wściekłość Pierwszych Drzew słyszających i czujących morderstwa Niedrzew była zatem olbrzymia. Niestety, ich korzenie tkwiły głęboko w ziemi, dlatego nie mogły ruszyć do niedrzewnych domostw by dokonać zemsty, a obsypywanie intruzów liśćmi nie przynosiło efektu. Coraz bardziej bezradne i coraz bardziej zaciekle w swej nienawiści, postanowiły więc zawrzeć sojusz z wilkami.

– Dopóki istniejemy, zawsze znajdziecie schronienie pod naszymi gałęziami – zaszumiały Pierwsze Drzewa. – Możecie mieszkać pomiędzy naszymi korzeniami, drążąc pod nami nory w których wychowacie swoje małe drzewiątka. W zamian za to, prosimy tylko, abyście polowały na Niedrzewa. Gryźcie ich korę swoimi dziuplami pełnymi ostrych gałązek, aż ich żywica wsiąknie w ziemię. Rozerwijcie ich swoimi korzeniami!

Wilki po krótkiej debacie przystały na propozycję Pierwszych Drzew, a przywódca ich stada przypieczętował umowę unosząc łapę i podlewając korzenie najstarszego z nich. Wilki nie znają bowiem atramentu i gardzą papierem, pochodzącym przecież z cierpienia drzew. Jeśli nie wierzysz, że tak właśnie to się odbyło pamiętaj, że do tej pory wilki i ich pobratymcy przypominają drzewom o tej prastarej umowie. A od jej pierwszego podpisania upłynęło przecież tysiące lat.

Niestety, pomimo wilczych wysiłków nie udało się oszczędzić puszczy przed Niedrzewami. Co gorsza, nienawiść napastników obróciła się również przeciw wilkom. Przyparte do muru musiały wkrótce uciec się do wojny partyzanckiej.

Przywódca wilczego stada nie miał imienia, bo tylko ci którzy nie wiedzą kim są, nadają sobie jakieś nazwy – znała go jednak cała puszcza.

Widząc śmierć swoich pobratymców w nierównej walce, zdecydował się zwołać wielką naradę skłóconych leśnych rodów. Rolę heroldów wzięły na siebie Pierwsze Drzewa.

– Wielka Narada... rada... rada... – powtarzało echo zamknięte w ich dziuplach, gdy obok przechodziły leśne zwierzęta. Tym sposobem już po kilku dniach cała puszcza skrzeczała, szczekała, piszczała i warczała o krwawej zemście.

Na miejsce Wielkiej Narady wybrano Drewnianą Polanę w najstarszej części puszczy. Gdy wszystkie zwierzęta przybyły wreszcie i usiadły w spokoju, głos zabrał najstarszy z wilków.

– Biada! – warknął ochryple. – Biada, gniew i lament spadną na niedrzewi ród, który zgotował śmierć naszej puszczy! Wróg wściekle toczy żywicę Pierwszych Drzew, pasami obdziera je z kory, ucina konary, rżnie w pieńki i szczapy! Dość pokornej śmierci! Nadeszła pora dać życie, żołnierze lasu!

Mowa wilka przeszła na wskroś sumienia leśnych rodów. Stało się jasne, że zbliża się wojna na śmierć i życie i nie ma czasu na dawne niesnaski. Gdy jednak ucichł płomienny apel i przestygły nieco gorące głowy, między gromkie zapewnienia o „walce do końca” i „śmierci, której należy spojrzeć w oczy”, wślizgnęła się polityka.

– Wilki zjadły mojego szwagra – przypomniał zając. – Teraz mam za nie nadstawić karku? Co z tej ofiary przyjdzie nam, zającom?

Właśnie, dobre pytanie! – zahukał dzięcioł. – A co ja mam powiedzieć? Sowy obsiadły wszystkie drzewa! Czy dzięcioły już nie mają prawa usiąść na gałęzi?

– To potwarz! – zawyła sowa. – Dzięcioły mijają się z prawdą!

– Dziki ryją ziemię i zasypują nam norki! – wrzasnął kret. – Nie można ufać dzikom!

– I jeżom!

– I myszkom!

– Lisy też nie lepsze!

– I kto to mówi!

– Sza! Sza! – zaszumiały i zaszleściły Pierwsze Drzewa, jakby zerwał się wściekły wichur. – Wstydźcie się! Wróg jest u bram, a wy ujadacie!...

Pomimo starań Pierwszych Drzew już po chwili cała polana zawrzała od pretensji, inwektyw i wyzwisk. Stało się jasne, że nie można wypowiedzieć wojny wrogowi bez zakończenia wojny domowej. Zwierzaki pewnie kłóciłyby się do rana, gdyby nie wilk.

– Zamknijcie mordy, pyski i stulcie dzioby! – warknął. – Musimy się zgodzić. Zającu, ród wilków przeprosza za spałaszowanie twojego szwagra, ale nie da się cofnąć czasu. Dlatego możesz być pewien, że od tej pory żaden wilk nigdy nie upoluje zająca, uroczyście ci to przysięgam.

Na polanie zaległa cisza jak makiem zasiał. Wreszcie przemówił zając.

– Cieszy mnie takie postawienie sprawy, mądry wilku – powiedział. – W zamian za to zajączy ród zobowiązuje się nie podgryzać gałązek Pierwszych Drzew.

– Wdzięczni jesteśmy rodowi szaraków – zaszumiało po chwili Pierwsze Drzewo. – Wiedzcie, że w zamian za to dzięcioły znajdą schronienie wśród naszych konarów.

I tak kolejno każdy ród rezygnował z dawnych roszczeń, przeproszał za winy swych przodków i zobowiązywał się do ustępstw wobec innego rodu. W ten sposób w ciągu Wielkiej Narady narodził się nowy pokój między zwierzakami, silna sieć zobowiązań w której każdy grał rolę ogniwa spajającego łańcuch wiążący paktem ich wszystkich. W tym układzie każdy był tak samo ważny: jeż, łoś czy pszczoła. Wszyscy solidarnie stanęli przeciw Niedrzewom.

Rozpoczęła się długa, zacięta walka, która pochłonęła wiele ofiar po obu stronach barykady, jednak żadna ze stron nie zbliżyła się do ostatecznego zwycięstwa. I tak krwawy bój trwałby do dziś, gdyby nie stało się coś, czego nie przewidziały ani Pierwsze Drzewa, ani wilki, ani nawet sowy. Umowa uległa zmianie.

Stało się to w miejscu, do którego rzadko wchodziło każde szanujące się zwierzę. Był to bowiem region opanowany przez Niedrzewa, gdzie wydeptano ścieżki przecinające puszcze. To nimi kroczyły kontyngenty wroga. Te splugawione miejsca jątrzyły się w puszczy niczym otwarte rany i zwierzęta wołały ich unikać. Wystarczyło jednak, by jakieś Niedrzewo zboczyło ze ścieżki – a jego koniec był bliski.

Nadzieję na taki rozwój wydarzeń miał stary wilk, przywódca stada.

– Paskudztwo – mrucał do siebie przyglądając się ścieżce z ukrycia. – Jak to w ogóle wygląda? Paskudztwo. Na co to komu, po co. Gdzie tu liście, gdzie mech? Płaskie to, krzywe. Zupełnie się nie nadaje do biegania. Nic nie zaczepia się o sierść. Po co to, skoro nic nie zaczepia się o sierść? Paskudztwo, tfu! – i zaskomlił na znak krańcowego oburzenia.

Deliberował tak jeszcze, kręcąc się wokół ścieżki i przetykając ślinę, aż zauważył patrzące na niego, młode Niedrzewo.

Niedrzewo, odziane w zgrzebną korę rdzawego koloru patrzyło na niego w milczeniu, zupełnie się go nie obawiając. Stało na ścieżce, przekrzywiając lekko w lewo swój konar opatrzony niewielkimi dziuplami i zdobiony bardzo cienkimi liśćmi koloru słońca. Wilk umilkł, skonsternowany. Niedrzewo stało na ścieżce, co mu się nie podobało i było większe od wiewiórki, co było zdecydowanie lepsze. Ruszył zatem niepewnie do przodu wysuwając łapę w kierunku ścieżki, po czym cofnął ją z widocznym obrzydzeniem.

– Boisz się? – odezwało się młode Niedrzewo. Wilk prychnął z

niesmakiem i z niedowierzaniem. Po raz pierwszy odezwało się do niego Niedrzewo, postanowił to zatem zignorować.

– Zjesz mnie? – spytało Niedrzewo. Wilk kaszlnął z obrzydzeniem.

– Niedrzewa nie mówią – oznajmił, próbując się uspokoić. – Niedrzewa wrzeszczą i krzyczą. „Pomocy”, „ratunku” i takie tam. Tak krzyczą Niedrzewa. Dopóki mogą.

– Nie będę krzyczeć – obiecało Niedrzewo. Wilk znów ruszył łapą, ale ścieżka nadal wydawała mu się wyjątkowo odrażająca. Przełknął ślinę i zastanowił się.

– Gdyby Niedrzewo zeszło z tego, gdzie sierść nie zaczepia to może i by mówiło – oznajmił chytrze. – Stąd nic nie słyhać.

– Co to jest to, gdzie sierść się nie zaczepia? – spytało Niedrzewo. Ale wilk nie odpowiedział. Coraz bardziej zdenerwowany i zbity z tropu obnażył kły. Niestety to, co robiło olbrzymie wrażenie na innych niedrzewach, tu zupełnie nie zdało egzaminu. Niedrzewo patrzyło tylko na niego z czymś, co mógłby uznać za objaw politowania, gdyby znał się na niedrzewowej, dziupłowej mimice.

– Zupełnie się nie boi – stwierdził i pociągnął nosem. – I paskudnie pachnie. Co to za Niedrzewo?

– Nie jestem Niedrzewem – zaprotestowało Niedrzewo. – Tylko Zuzanną. Jak pachnę? – spytało nagle, co znów zbiło wilka z tropu. Mlasnął kilka razy językiem i nerwowo podkulił swoją piękną, wielką kity.

– Jak bardzo suche Niedrzewo – oznajmił, bardzo z siebie nagle zadowolony. – Wyjątkowo suche i niesmaczne. Zupełnie nie nadające się do zjedzenia.

Niedrzewo, nazywające siebie Zuzanną, milczało przez chwilę i już kiedy wilk miał odejść bez pożegnania, powiedziało: – Ale ja chciałabym,

żebyś mnie zjadł.

Zapadła krępująca cisza.

– Nie boisz się? – spytał wilk po chwili, nieopatrznie wchodząc jedną łapą na ścieżkę i natychmiast zabierając ją z powrotem. – Niech wylinieję! – jęknął, obserwując łapę. – Co z ciebie za Niedrzewo?!

– Nie jestem Niedrzewem, tylko Zuzanną – powtórzyła Zuzanna. – I nie boję się ciebie.

– Jestem wilkiem – powiedział wilk, preżąc się dumnie. – A ty jesteś kłamliwym Niedrzewem.

– Ja umieram.

Wilk zadreptał w miejscu. „Wygląda prawie jak wiewiórka”, pomyślał. „I umiera. Jak wiewiórka. Prawie”.

– A na co usychasz? – zapytał po chwili. Zuzanna wzruszyła gałęziami.

– Jestem bardzo chora – odpowiedziała. – Kaszlę i boli mnie gardło. Boją się mnie, tam skąd pochodzę. Boją się, że ich zarażę i że też umrą.

– Boją się, że uschną? – spytał wilk podejrzliwie. Zuzanna pokiwała konarem.

– Tak, że uschną. Boją się, że wszyscy uschną. Wygnali mnie – powiedziała. – Ale ty mógłbyś mnie zjeść. Nie chcę usychać z powodu choroby, wiesz?

Wilk zaskomlał z niezadowoleniem. Zastanawiał się dłuższą chwilę. Dawno nie przemyślał tak długo jednego, męczącego problemu. I tak jak każde wilki, zaczął częściowo mówić do siebie, ponieważ dla wilka nie ma nikogo lepszego do poważnej debaty.

– Nie zjadam usychających Niedrzew – deliberował. – Są niesmaczne, łykowate i można coś złapać. Ale gdyby Niedrzewo zeszło z tego, gdzie sierść się nie zaczepia? A gdyby było rosnące a nie usychało? Ale usycha. Zdecydowanie. Kaszle i trzęsie się, jak czasem sam wilk. – urwał na

chwilę, bo problem i jego tematyka zaczął się niebezpiecznie powiększać. – A co robi wilk kiedy się trzęsie? – zastanowił się po chwili. – Idzie do Drzewa. Tak, do tego Drzewa. I zjada Jego korę. A jak zjada korę, to już się nie trzęsie – uznał, niezmiernie z siebie zadowolony. – Czy Niedrzewo mogłoby zjeść kory i też się nie trząść? – spytał nagle. – Nie kaszleć? Może i tak. A może i nie. Gdyby nie usychało i zeszło stąd, gdzie sierść się nie zaczepia, to byłoby dobre do zjedzenia – skonkludował. – Chyba. Może. Zupełnie nie jak wiewiórki. Jak one chodzą po drzewach! – przerwał na chwilę i popatrzył na denerwujące Niedrzewo. – Wrośnij tu przez chwilę – oznajmił i pobiegł w głąb lasu, ku Starej Wierzbie.

Stara Wierzba, od zawsze rządziła północną częścią puszczy. Granicę jej królestwa wyznaczał mroczny strumień i zapomniany matecznik. Ponieważ była bardzo starym, Pierwszym Drzewem, spała przez cały dzień i sporą część nocy. Dlatego też, kiedy wilk tłumacząc się wyjątkowo pokrętnie obudził ją i zaczął prosić o korę, była wyjątkowo niezadowolona.

– Zamocz ją w gorącej wodzie źródła, obok strumienia. Musi tam długo leżeć – powiedziała. – A potem wlej wodę ze źródła do swojej dziupli. I daj mi wreszcie spokojnie rosnąć! Ciągle tylko przychodzisz i opowiadasz banialuki jak wtedy o tych kopających dymem drzewach, które rosną na wielkich grzybach zamieszkałych przez Niedrzewa. Jakie Niedrzewa żyły by w grzybie?

– Może Niedrzewa są jak robaki – oznajmił z dumą wilk. Ale Stara Wierzba nie chciała już z nim rozmawiać i znów usnęła.

Tego wieczora wilk poprowadził Niedrzewo każące się nazywać Zuzanną do gorącego źródła. I chociaż w lesie podniosły się pełne oburzenia szepty, Zuzanna wypiała zaczarowaną wodę Starej Wierzby. I piła ją tak przez trzy dni, śpiąc i pijąc na przemian. A czwartego dnia,

obudziła się zupełnie zdrowa. Pachniała, jak zauważył z zadowoleniem wilk, zupełnie inaczej. I chociaż w żołądku kiszki grały mu już porządnego marsza, postanowił zaczekać jeszcze chwilę.

„Nie ma co się śpieszyć”, pomyślał. „Na pewno jeszcze trochę usycha. A dopiero teraz zaczyna ładnie rosnać. Prawie po wilczemu. Nawet trochę przypomina wilka”, dodał do siebie, znów deliberując. „Też ma kły, tylko małe. Ale to nie wilk. Raczej wiewiórka. Może”.

Może gdyby nie skłonność wilka do zbyt głębokich przemyśleń, nasza historia potoczyłaby się zupełnie inaczej? Dwunastego dnia jednakże, po wypiciu wody ze źródła, stało się coś co całkowicie odmieniło los Niedrzew, wilków i Pierwszych Drzew.

Zuzanna obudziła się rankiem, zupełnie zdrowa. Roześmiała się głośno, na jej twarz padały promienie słońca przykryte tylko częściowo przez zdumioną, Starą Wierzbę. Niepewny co zrobić, wilk podszedł do Zuzanny, a ona objęła jego szyję gałęziami.

– Wilku, dziękuję! – powiedziała i potem dodała te dwa słowa, przez które cały pakt rozsypał się jak domek z kart. – Kocham cię.



# RUBINOWA KREW

Dawno, dawno temu gdy ludzie walczyli z lasem, w głębokiej puszczy mieszkała piękna czarownica.

Jej włosy były czarne jak atramentowa noc, skóra biała jak mleko i gładka jak atlas, a oczy roziskrzane jak gwiazdy. Można było wziąć ją za wcielenie anioła, choć uważne oko dostrzegłoby jej skazy: jedną nogę miała o grubość źdźbła trawy dłuższą od drugiej, a nad górną wargą znajdował się niewielki pieprzyk. Jeśli zaś zbyt długo patrzyło się w jej lewe oko miało się wrażenie, że wpada się do bezdennej i duszącej studni. Najpiękniejsze jednak były włosy czarownicy, choć zawierały w sobie złe czary: a mianowicie ich korzenny, cierpki zapach powodował nienaturalną senność. Wielu młodych mężczyzn piękna czarownica przywiodła do zguby za pomocą usypiających włosów. Jeśli bowiem spodobał się jej jakiś nieszczęśnik, przychodziła do niego w snach obiecując nieziemskie rozkosze, by wreszcie – ośpiątego i odurzonego z pożądania – zaciągnąć w las i otoczyć czarnymi włosami. Po takim spotkaniu młodzieniec na zawsze zostawał jej niewolnikiem. Niektórych czarownica zabierała, zgodnie z senną obietnicą, do swego łoża. Z grzesznego związku rodziły się potem złośliwe karły, strzygi o trzech szczękach i blade, chude dzieci. Te ostatnie, choć były piękne, miały zimne i oddane czarownicy serca. Przez takie serca, jak okruchy lodu, dopuszczały się wielu okrucieństw. Czarownica rządziła więc całą puszczą, choć nie zapuszczała się daleko poza swoje królestwo. Służyły jej ptaki, jaskiniowe nietoperze i liczne zwierzęta leśne. Pająki szyły jej suknie z delikatnych pajęczych nici nanizując na nie krople diamentowej

rosy, a włochate osy przynosiły jej zrabowany leśnym pszczołom miód.

Cały las był przeklęty za panowania czarownicy. Na jej rozkaz zatruto pobliskie źródła: kto napił się z nich wody śnił o czarownicy i w głębi swej duszy zachowywał na zawsze jej obraz. Taki człowiek nie był co prawda jej sługą, lecz nie mógł się jej przeciwstawić jeśli zażądałaby czegoś lub ochroniłby ją, gdyby groziło jej jakieś niebezpieczeństwo. Całe wioski lękały się gniewu czarnowłosej wiedźmy i jeśli tylko z puszczy przybył posłaniec czarownicy – człowiek czy szczur mówiący ludzkim głosem – spełniano bez szemrania jego żądania.

Czas jednak mijał a moc czarownicy słabła. Szeptano, że sam diabeł znudził się jej wdziękami i pozostawił ją własnemu losowi. Mówiono, że magiczne wywary z czasem zmąciły jej umysł a uprawiane czary osłabiły jej mroczne zdolności. Najodważniejsi twierdzili jednak, że czarownica uległa w końcu Bożemu Prawu i zaczęła się starzeć, pomimo wielu lat wykradzonej magicznie młodości. Starość natomiast – powtarzano – nie radość i widocznie czary nie wychodzą już tak dobrze zgrzybiałej sekutnicy. Z pewnością pękła jej złota strzykawka, którą pobierała krew z żył własnych dzieci racząc się nią potem, by w ten sposób oszukać okrutny upływ czasu. Mijały lata. Od dawna do żadnej z wiosek nie przychodził posłaniec czarownicy i ludzie zaczęli mówić, że jej postać to tylko stara legenda: bujda opowiadana przez wędrownych dziadów w zamian za mleko z odrobiną skwarek. Z czasem ci, którzy tak mówili, sami stali się starzy i opowiadali o czarownicy swym dzieciom, które układały o niej wierszyki dodając własne, wymyślone o niej opowieści. I działo się tak aż do czasu, w którym pewna mała dziewczynka zagubiła się w przeklętej puszczy.

Dziewczynka chciała nazbierać grzybów – i za każdym kolejnym konarem znajdowała jeden, coraz bardziej dorodny. Weszła więc

głęboko pomiędzy grube drzewa i przeskakiwała przez poskręcane korzenie szukając polanek z mokrego mchu. Rosły tam piękne borowiki i prawdziwki z wielkimi kapeluszami. Nie było ani jednego psiaka czy muchomora: tak jakby las chciał obdarzyć dziewczynkę najpiękniejszymi okazami. Dziecko zapomniało więc o powrocie na ścieżkę, nie zauważyło też, że zrobiło się ciemno. A zapadła już noc. Z nor powychodziły chichoczące lisy a pomiędzy gałęziami przelatywały srebrzyste sowy.

Dziewczynka usiadła na pieńku i zorientowawszy się, że nie pamięta powrotnej drogi – zaczęła płakać. Kiedy łzy spływały jej po policzkach usłyszała nagle cichy śpiew. Nie był to śpiew smutny ani radosny, skoczny ani powolny lecz pełen tęsknoty i nie można go było zapomnieć. Dziewczynka wstała z pieńka i wyruszyła szukać śpiewaka. W ten sposób dotarła do polanki otoczonej koronami drzew.

Na jej środku, przy małym strumyku, siedział chłopiec. To on śpiewał, a śpiewając uderzał wierzbową witką podchodzące do niego leśne zwierzęta. Widać było, że borsuki, wiewiórki i młode sarny podchodziły do niego z lękiem – uderzał je bowiem wyjątkowo boleśnie, a do strumyka wpadały krople ich krwi.

Kiedy dziewczynka podeszła bliżej zauważyła, że chłopiec był nagi i zakryty jedynie przez poszarpaną przepaskę. Był też przeraźliwie chudy – spod napiętej jak pergamin skóry widać było jego białawe kości i tylko oczy wyglądały na roziskrzzone niezdrową gorączką. Wystraszona dziewczynka postanowiła uciec, pod jej stopą trzasnęła jednak gałązka. Chłopiec podniósł głowę i odezwał się do niej.

– Kim jesteś? – spytał tak, jakby był szczerze ciekawy. Nie patrzył jednak na nią a kiedy się odezwała i powiedziała, że mieszka w pobliskiej wiosce uśmiechnął się kpiąco. – Już nigdy tam nie wrócisz – powiedział. – Będziesz mieszkać tu ze mną. Będziesz się mną opiekować, bo oprócz

zwierząt nie ma tu nikogo kto by mi służył, a moja matka od dawna już nie żyje.

Dziewczynka zaczęła płakać, co bardzo rozsierdziło chudego chłopca. Wściekły zamachnął się witką chcąc ją uderzyć, zasłoniła się jednak rękami. Wówczas chwycił ją za jej czarne włosy i zaczął nią szarpać. Dziewczynka próbując się bronić popchnęła go, a on upadł uderzając głową o leżący na ziemi kamień.

Zapadła cisza. Martwy chłopiec leżał obok strumyka, a z jego ust wypłynęła kropla rubinowej krwi. Wydało się wtedy, że cała puszcza zastygła i przestała oddychać; nie słychać było nawet najcichszego powiewu wiatru. Nad polaną zawisł gęsty i ciężki czar, duszący jak zapach tysiąca starych róż. A dziewczynka nachyliła się i sama nie wiedząc czemu, pocałowała martwego chłopca w usta.

W tym momencie kropla rubinowej krwi chłopca zapadła jej w serce.

Puszcza powoli ożyła, a milcząca dziewczynka, ruszyła w jej głębię. Idąc uśmiechała się do siebie i dotykała maleńkimi dłońmi rosnące przy leśnej dróżce kwiaty paproci. Po chwili poszły za nią zwierzęta. A gdy tak szła, lekki zefir powiewał jej czarnymi jak atramentowa noc i nieprzeniknionymi jak sen, włosami.

Z każdym krokiem w jej ciele powiększał się chłód, a serce zamarało.

Zaczął sypać śnieg. Puszcza zmieniła się w białe królestwo. Zamarły wszystkie rzeki, a na wielkiej polanie drzewa pękły i rozsypały się w proch. Stara ruina, w której niegdyś mieszkała czarownica, porośła lodem, zmieniając się w lodowy pałac. Cała okolica przeobraziła się w martwy, lodowaty płaskowyż pełen skrzących się iskier. A dziewczynka weszła do lodowego pałacu, nie oglądając się za siebie.

I tak, nadeszła zima, a wraz z nią królowa płatków śniegu.

# STARA MASZYNERIA

Tam, gdzie teraz patrzysz z okna starej wieży, dawno, dawno temu znajdowało się istne morze rupieci. Resztki zardzewiałych urządzeń, powyginanych drutów, metalowych pudeł i stalowych szczątków wyglądały niczym szary ocean. Co jakiś czas, gdy niebo robiło się pochmurne, leżące po horyzont żelastwo drgało i trzęsło się od zapomnianych resztek elektryczności. Czujny obserwator dostrzegłby przemykające po równinie błękitne drzazgi prądu, które ze świstem i trzaskiem pędziły przed siebie, przeskakując z jednego kopca mechanicznych rupieci na drugi kopiec, prześlizgując się po poszarpanych drutach i zapomnianych słupach wyglądających jak rozczapierzone, stalowe drzewa.

Z takiego to przekłętego śmietniska, wiele lat temu wylął się Żelazny Jan. Starzy ludzie powiadali, że noc jego narodzin była burzliwa i pełna piorunów, które tak długo uderzały w stare maszyny i drgające szczątki, że zaczęły one ciągnąć ku sobie i szczepiać się w żelazną potworę, szumiącą, trzeszczącą i cykającą. Z początku wyglądała ona jak stary zardzewiały krab lecz wciąż jej było mało. Dopóty zatem krążyła po cmentarzysku, dopóki nie doczepiła sobie żelaznego tułowia, rąk i głowy. Na końcu zaś wytworzyła sobie twarz o oczach pustych i szklanych, twarz nieco smutną i zamyśloną, a może okrutną? Nie wiadomo. Tak czy owak, maskara nazwała się Żelaznym Janem i z wolna zaczęła iść w stronę naszego królestwa. Długo zajęła jej ta podróż, stawała bowiem często i ani drgnęła, czekając cierpliwie burzę z piorunami – żywiła się bowiem nimi i dzięki temu mogła trwać i dalej iść przed siebie.

Pierwsze Żelaznego Jana dostrzegły istoty z Zaczarowanego Lasu, będącego daleko na północ od naszego królestwa. Z początku ostrzegły go, by nie zbliżał się do granic ich księstwa, ale Żelazny Jan parł przed siebie nie zważając na nic. Aby go powstrzymać strzelano do niego z łuków, lecz strzały odbijały się od jego żelaznej piersi. Wypuszczono na niego sforę wilków zaprawionych w bojach, lecz ich kły ześlizgiwały się tylko lub pękały na żelaznym ciele. W końcu przed Janem stanęła sama Królowa Lasu, a była to potężna czarodziejka. Ciskała w niego najpotężniejsze zaklęcia, tak silne aż powietrze furczało od uderzeń magicznej mocy. Żaden czar nie chciał jednak wtopić się w żelazo i żaden nie mógł powstrzymać upiornego podróżnika. Żelazny Jan minął Królową, nie zwracając na nią uwagi. Wtedy to zdecydowano się na desperacki krok i wysłano na Żelaznego Jana Niedźwiedzia z Zaczarowanego Lasu, będącego od wielu lat w konflikcie z Królową. W zamian za jego pomoc w pokonaniu żelaznego potwora, Królowa zgodziła się zakończyć wojnę z południową częścią Lasu, władaną przez Niedźwiedzia; zawarto także sojusz związany z przydziałem leśnych malin oraz dostępem Niedźwiedzia i jego braci do uli. Pakt o nieagresji spisano na korze starego Drzewa, w obecności sławnego w całej krainie Królika Jeremiasza (znanego specjalisty od prawa sądowego) i trzydziestu sześciu świadków zebranych z najodleglejszych części Lasu. Wiele tu było bowiem do ustalenia: wyznaczono nowe granice, uproszono zaczarowany strumyk by mniej szemrał w nocie październikowe (stary konflikt ze strumykiem w tej sprawie ciągnął się od pokoleń) i zgodzono się by duchy leśne mogły do woli hasać przy Zielonym Kamieniu, któremu obiecano z kolei że Niedźwiedź przestanie skrobać go z mchu (co zwykł czynić gdy swędziły go pazury). Wiele było zresztą i innych umów i pogodzeń, traktatów i obietnic dość, że nie

starczyłoby miejsca by wszystkie je tu przytoczyć. I tak po nocnej popijawie, którą uczczono rozejm, ukontentowany Niedźwiedź wyruszył na spotkanie z, jak się wyraził, „kandydatem do rozdeptania”. Gdy jednak ujrzał Żelaznego Jana i ryknął na niego złowrogo, ten wybałuszył na niego swe szklane ślepia a z jego rąk trysnęły błękitne pioruny, które urwały Niedźwiedziowi włochaty czerep. Od tej chwili nikt nie niepokoił już Żelaznego Jana... a ten szedł wciąż przed siebie i po kilku dniach zostawił Zaczarowany Las za sobą idąc w kierunku Mglistych Gór, zamieszkałych przez różnorakie potwory i szkaradne monstra. Wielu śmiałków próbowało przeprowić się przez Mgliste Góry i poznać ich tajemnicę, ale tylko Żelazny Jan przeszedł przez nie bez szwanku. W ten sposób znacznie zbliżył się do granic naszego królestwa i można go było dojrzeć przez starą, astronomiczną lunetę.

Państwem władał wówczas stary król, dość zresztą bojaźliwy, dla którego Żelazny Jan był pierwszym poważnym problemem. Od dawna w jego królestwie nie było bowiem wojen czy zarazy a mieszkańcy chwalili sobie spokojne (choć może nieco nudne) życie. Widząc zatem nadchodzącą poczwara, król wezwał do siebie doradców i jął ich pytać co czynić. W wielkiej sali audiencyjnej rozpętała się żywiołowa dyskusja. Jedni doradcy byli za atakiem obłączniczymi machinami, które skoro potrafią kruszyć skały skruszą i żelastwo. Inni doradcy byli przekonani, że tylko ogień pokona potwora, gdy bowiem żelazo rozgrzeje się do czerwoności, niechybnie się stopi. Ostatni mówili wreszcie o zastawieniu pułapki na żelaznego demona. Pułapka miała mieć postać wielkiego dołu, w który żelazna poczwara – jako głupia z natury – na pewno wpadnie. Niestety żadna rada nie zadowoliła króla. Machiny obłączne okazały się być stare i uszkodzone, a czasu by nowe budować nie było. Nie było także sposobu by rozgrzać ogień do temperatury, która mogłaby stopić

Żelaznego Jana, a z pomysłem ostatnim w ogóle nie dyskutowano. Zdesperowany władca wezwał wówczas do sali audiencyjnej mędrca pałacowego, siwego i bardzo już starego badacza historii, który odezwał się w te słowa: – Najjaśniejszy panie! Jak wiesz, królestwo nasze pełne było niegdyś rozmaitych machin, przodkowie nasi nauczyli się bowiem jak myśli w kryształach wkręcać i piorunami je napędzać. Im więcej jednak machin budowali, tym mniej ich samych było. Upodobali sobie jednak wszystko co sztuczne i nakręcane. Budowali zatem wielkie miasta mechaniczne i statki żelazne, które nie pływały po morzach, lecz wznosiły się z hukiem i ogniem pod niebo. W każdym z domostw stały kłocze kryształowe, które jak kule magiczne ukazywały mieszkańcom piękne baśnie i bajędy dla ich rozrywki. Gdziekolwiek by się nie obrócono, tam wszędzie były maszyny: duże i małe, mądre i głupie i wreszcie nie było już miejsca, w którym nie tkwiłaby maszyneria. W końcu doszło do tego, że szaleni czarownicy projektujący wciąż nowe maszyny wpadli na pomysł, by takie stworzyć, które będą do żywych zupełnie podobne i niemal nie do odróżnienia. Ich diabelski pomysł doprowadził do wielu wojen, a największa z nich – ostatnia – zniszczyła wszystkie królestwa. Wiele lat upłynęło od tego wydarzenia i tylko po jednym z dawnych królestw, pozostało stare cmentarzysko machin, z którego owa poczwara wzięła swój początek. Idzie ona teraz ku nam, gdyż w kryształach zardzewiałych kołaczą jej myśli szalone i zapewne wrogie wszystkiemu co żywe i nie mechaniczne. Może myśli ona, że wojna nie skończyła się wcale a może o wojnie nic nie wie – odgadnąć niepodobna.

– Jak zatem powstrzymać tego potwora?! – krzyknął król w gniewie, dość miał już bowiem bajdurzenia mędrca o dawnych czasach, podczas gdy w obecnych Żelazny Jan przechodził już przez pierwsze wioski w



królestwie, wyraźnie kierując się w stronę zamku.

– Jeśli żelazna poczwara ma za zadanie niszczyć inne maszyny żelazne, gdyż to w wojnie mogła czynić – powiedział mędrzec – to tu ich nie odnajdzie. Gdyby zaś miała nas atakować lub nasze budowle, zrobiłaby to już wcześniej, niszcząc wszystko po drodze. A przecież tylko wtedy, gdy próbowano powstrzymać poczware, broniła się przed atakiem. Niech zatem przejdzie przez królestwo w spokoju, a nikomu nie stanie się krzywda.

Szmer zapanował w sali audiencyjnej. Wróg był już bowiem u bram i nie atakowanie go uznano za szaleństwo. Zewsząd zaczęły napływać gorączkowe propozycje uporania się z problemem.

– Wszystko to bajdy i bajędy! – ryknął gromko jeden z obecnych w trakcie narady królewskiej, generał. – Jak wszystkim wiadomo, każda poczwara łasa jest na dziewicę. Dać mu dziewicę, powiadam!

– Nie dziewicę, tylko barana – wtrącił uczony szlachcic. – Na sam wprzód obtoczyć w smole i trującym sianie! Jak bestia się nażre, ani chybi rozpuknie!

– Toć można i dziewicę obtoczyć w smole!

– A jakże!

– Głupoty waszmoście gadacie – wtrącił niezwykle podekscytowany, młody rycerz. – Żelazne toto, a więc podobne do bazylicha, co mieszka pod zamkiem i ludzi spojrzeniem w żelazo lub kamień zamienia. A jeśli ów bazylich w lustrze się obaczy, to i sam w kamień obróci. Trzeba zatem żelaznej poczwarze lustro okazać by się w kamień przemieniła!

– Można dziewicę obtoczoną w smole i trującym sianie w lustro wyposażyć!

– Racja!

– Dość już gadania! – zdenerwował się król i zeskakując z tronu,

dobiegł do astronomicznej lunety. Spojrzał przez nią i zadrżał: Żelazny Jan stał już przed zamkową bramą, poszedł bowiem drogą na skróty i dotarł do zamku przed czasem. – Jest już! – pisnął król i w przerażeniu złapał się za głowę. – Zróbcie coś! Powstrzymajcie go! – krzyknął, ale zebrani w sali doradcy patrzyli tylko po sobie, nie wiedząc co czynić. I tylko siwy mędrzec uśmiechnął się smutno.

Nie znaczyło to jednak, że nic nie zrobiono. Każde królestwo posiada swoich rycerzy, których zadaniem jest bronić króla. Gdy Żelazny Jan otworzył bramę zamku, otoczył go rycerski korpus, który zaczął go razić mieczami i kopiami. Miecze pękały jednak jak zapałki a kopie co najwyżej porysowały lekko żelazne cielsko potwora. W końcu Żelazny Jan spojrzał na napastników szklanymi oczami i, tak jak w przypadku Niedźwiedzia, cisnął w nich piorunami. Błękitne smugi osmaliły zbroje atakujących i wytrąciły im broń z ręki. Rycerze uciekli od żelaznego demona, a ten skierował swe kroki do wnętrza zamku i sal królewskich. Idąc dudnił i mamrotał do siebie, a gdy dotarł do komnat zamkowych zawołał metalicznym głosem: – Żądam audiencji u króla!

Zapanował popłoch. Doradcy króla zaczęli chować się za kolumnami, a sam władca rzucał się dookoła tronu to w lewo, to w prawo, nie wiedząc co czynić. Nagle trzasnęło, huknęło i po resztkach zniszczonych drzwi wszedł do sali audiencyjnej Żelazny Jan. Jego żelazne cielsko drgało i trzeszczało, ze stawów kolanowych świstały kłęby pary a po żelaznej głowie skakały błękitne iskry.

– Żądam audiencji u króla! – powtórzył głucho i to wystarczyło, by doradcy władcy wybiegli z wrzaskiem z sali. Chciał uciec i król, lecz bał się przebiec obok żelaznej maszyny, schował się więc za mędrca.

– A po cóż ci król, drogi potworze żelazny! – zapiszczał. – Na co ci on! Król ci do niczego nie potrzebny, król stary jest i zmęczony! Z mędrce

pogawędź sobie! On ci ciekawe rzeczy opowie, mądry jest przecież! A król... cóż król może wiedzieć! Niewiele ma do powiedzenia! To król malutki, słabiutki... królik po prostu!

– Żądam audiencji u króla! – powtórzył Żelazny Jan a oczy szklane rozjarzyły mu się złowrogo.

– Czegóż chcesz! Mów i idź sobie! – krzyknął cienko król, drżąc cały. W Żelaznym Janie coś wówczas zachrobotać, pisnęło i grzmotnęło. Machina zachwiała się lekko i stanęła bez ruchu, po czym terkocząc, jakby ktoś taśmę starą na koło drewniane nawijał i przy wtórze upiornej jakiejś melodyjki, odezwała się w następujące słowa:

*Długie i czarne są wieczności noce I jak nieżywa tkwi w nich myśl  
maszyny Szepcząc do siebie wojenne historie Bez smutku, śmiechu i  
poczucia winy*

*Stapia się w ciszę maszyneria stara Ostatnia ruchu sekwencja zanika Co  
nami było – dziś kamień omszały Rdza, czarna woda i ziemia przenika*

*Lecz zanim myśli ostatnie zagasną I w zapomnienie pójdą nasze czyny  
Niech władca ludzi nam odpowie jasno: W czym żeście byli lepsi od  
maszyny?*

Po tych słowach Żelazny Jan zastygł w oczekiwaniu a przerażony król wykrzyknął: – Co to ma znaczyć? Co to za upiorne rymy? I skąd ja mam to wiedzieć?

– Lecz zanim myśli ostatnie zagasną... – zaczął znów deklamować Żelazny Jan, ale stary król nie kontrolował już wzburzenia dyktowanego strachem. Wychylając głowę zza pleców mędrca, zapiszczał: – Daj mi spokój, słyszysz upiorze żelazny?! Ja... ja... jestem stary i zmęczony! Nie chcę umierać! Nie chcę umierać!

Maszyna milczała wyczekująco. Pomiędzy nią a królem zapadła ciężka

cisza, która przestraszonemu królowi odbierała dech. W końcu coś pękło i władca odczepił się od pleców mędrca, kucając z płaczem na podłodze.

– Za co... za co... mnie to spotyka! – rozplakał się król. – Naj... najpierw synowie odeszli... ani jeden, ani drugi... nie... nie pamiętają o ojcu starym! Żo... żona nie żyje, suchoty... Całe królestwo się rozpada, poddani ciągle niezadowoleni! W kościach mnie łupie! Sam powiedziałeś – chwycił poję szaty mędrca, który zamierzał schować się za kolumnę – sam mówiłeś, że podagrę mam! I na co mi takie życie? Co ja mam robić! – wrzasnął nagle, najwidoczniej dostając ataku hysterii. – Nie chcę umierać! Chcę żyć! Chcę znów być młody! Dlaczego królowie muszą się starzeć i umierać?! Czy ja jestem komuś potrze... potrzebny jeszcze? I teraz przylazło takie... na co mi to? Po co?! Wszystko, wszystko straciłem... wszystko... Po co ja żyję na tym świecie?! – i stary król rozbeczał się jak dziecko.

Żelazny Jan patrzył na niego przez chwilę, po czym odwrócił się z wolna trzeszcząc i terkocząc i wyszedł z sali.

Szedł przed siebie powolnym, mechanicznym krokiem. Zostawił za sobą zamek, wioski, lasy i pola. Padał na niego deszcz i dął w niego zimny wiatr. Pod żelaznymi stopami kruszyły się kamienie. I z wolna kołatały w nim myśli, z wolna rosły i opadały na dno, w którym – jak teraz zrozumiał – duszy spragnionej życia i przerażonej jego końcem, nie było i nigdy nie będzie.

A gdy już stanął na cmentarzysku starej maszynierii zastygł, zaterkotał i nie poruszył się więcej.

# ZBYT PIĘKNY CHŁOPIEC

Za opuszczonymi górami, za bezlistnymi lasami i za siedmioma korytami wyschniętych rzek stało czarne, smutne miasteczko w którym urodził się zbyt piękny chłopiec.

Nie był on piękny dlatego, że pozostali mieszkańcy miasteczka nie grzeszyli urodą. Wyróżniał się jednak na ich tle jak pokryty rosą, wiosenny kwiat różni się od trawy. Jego skóra zdawała się błyszczeć, włosy lśnić, a oczy były jak odległe gwiazdy. Ktokolwiek w nie spojrzał, ogarniała go dziwna tęsknota, której nie mogło zaspokoić nic na całym świecie.

Przyjście na świat tak pięknego chłopca ogłoszono jako dobry omen. Na jego matkę, która nie była zameżna spojrzano innym niż do tej pory, życzliwszym okiem. Mówiono, że ojcem chłopca musiał być sam anioł. Starzy ludzie przysięgali na wszystkie świętości, że widzieli nieznanego o perłście białych skrzydłach, który przybył do miasteczka by napić się mleka z miodem (smak tego napoju najbardziej przypomina bowiem boską ambrozję). Inni szeptali, że dziecko urodziło się dzięki czarom, a jego ojcem jest zwykły, ale ukrywający swoją tożsamość, mieszkaniec miasteczka. Jak było naprawdę, nie ma jednak znaczenia dla naszej opowieści.

Mijały lata. Zbyt piękny chłopiec piękniał z dnia na dzień. Gdziekolwiek się pojawił, wzbudzał powszechny zachwyt. Ludzie nie odstępowali go na krok, a sam burmistrz ogłosił go honorowym obywatelem miasteczka. Każdy znajdował powód, by pobyć choć przez chwilę w towarzystwie pięknego dziecka. Jego matka nie mogła opędzić

się od wielbicieli, którzy pragnęli zostać ojcami chłopca o wyjątkowej urodzie. W sercu matki nie było już jednak miejsca dla kogoś innego, prócz przepięknego dziecka.

Nic co dobre, nie może jednak trwać wiecznie.

Gdy chłopiec miał siedem lat, do miasteczka przybyła zaraza. Nadeszła pod postacią samej Śmierci w łopoczących łachmanach i z przerdzewiałą kosą trzymaną w kościstych palcach. Czarne miasteczko wydało jej się przytulnym i miłym miejscem. Przypominało jej zapewne o domu, mieszczącym się daleko za Milczącym Ogrodem. Spacerowała więc po nim długo, pozostawiając za sobą pasmo chłodu i rozpacz. Ośmielona, wchodziła do każdego z domów nie pukając do drzwi i zabierając dusze, niczym drogocenne klejnoty do swego ciemnego worka. Gdybyś był tuż obok, usłyszałbyś szept tych dusz usiłujących wydostać się na zewnątrz, płaczących samotnymi westchnieniami.

I tak, Śmierć zabrała wszystkich mieszkańców. Wszystkich, oprócz pięknego chłopca. Był on zbyt piękny nawet jak dla niej. A może była ciekawa, co może wyrosnąć z urodziwego malca? Lub – po raz pierwszy od tysiącleci – na widok takiej urody zdjęła ją litość? Nie wiadomo. Pewne było tylko to, że stanęła przy dziecku, zamyśliła się, po czym odeszła pozostawiając za sobą wymarłe domy i puste uliczki. I tak zbyt piękny chłopiec po raz pierwszy w swym krótkim życiu, został zupełnie sam.

Nie było nikogo, kto mógłby zachwycić się jego urodą. Nikogo, kto mógłby zaopiekować się nim tak, jak opiekowano się do tej pory. Oszołomiony nagłą samotnością i spotkaniem ze Śmiercią, dreptał samotnie po miasteczku zupełnie jak jego niedawny, upiorny gość, a jego uroda jaśniała niczym kryształ. Stawiał poważne kroki po kocich łbach uliczek, zatrzymywał się nad spokojną i gładką sadzawką, siadał pod

krzywą wieżą ratusza. Coraz śmielsze szczury, forpoczta zarazy, przemykały obok niego. Nie robiły mu jednak krzywdy, zupełnie jak sama Śmierć.

Na czarne miasteczko spadł rześisty deszcz. Zbyt piękny chłopiec skrył się w jednym z pustych domów. Domy opuszczono, gdyż część mieszkańców usiłowała schronić się przed zarazą w kościele, w którym próbowano wymodlić ratunek. Śmierć zajrzała jednak do kościoła jako do jednego z pierwszych miejsc i drwiąc sobie z błagań, złorzeczeń i modlitw zebrała tam obfite żniwo.

Zdawało się, że czarne miasteczko spowił całun ciszy. Chłopiec, patrząc przez okno uśmiechnął się nagle, a w jego duszy zapadł nagle spokój, który utonął w nim niczym ciężki kamień. Tej nocy usnął pierwszym, spokojnym snem od czasu zjawienia się zarazy nasłuchując ciszy, która wcześniej nigdy nie była mu dana. Po raz pierwszy nikt nie zachwycał się jego urodą.

Chłopiec nie martwił się o nic: ani o jedzenie, zalegające w wielu domowych spiżarniach, ani o ubranie, ani o chłód czy inne niebezpieczeństwa samotnego trwania. Wszystko zdawało mu się odległe i nieważne. Jego uroda, wydała mu się zbyt mało wyjątkowa i nieistotna. Myślał o Śmierci: o jej spokojnym, cichym majestacie i powadze, tak bardzo różnych od rozkrzyczanych i roześmianych, nigdy nie odstępujących go mieszkańcach. Nie tęsknił już za nimi: jego serce otworzyło się i zamarło, wypełnione dziwną ciszą: słodką i świeżą, jak powiew wolności.

Był piękny. Lecz tego dnia nie miało to znaczenia, bo po raz pierwszy w życiu, poczuł się naprawdę wolny.

# KRAINA ZMARŁYCH

Skoro twierdzisz, że niczego się nie boisz opowiem ci o Krainie Zmarłych.

W dawnych czasach, gdy na tronach zasiadali królowie, a w lasach mieszkały szalone czarownice, istniały cztery Księgi, w których napisano jak trafić do Krainy Zmarłych. Dwie z nich były przeklęte, jedna błogosławiona a ostatniej nie rozpoznałbyś, choćbyś wziął ją do ręki.

Pierwszą z Ksiąg napisał królewski wróżbita. Historia Krainy Zmarłych, jej topografia i wiodąca do niej Brama Tysięcy Kości zjawiała mu się we śnie. Zamiast zapomnieć o wizji, wróżbita zdecydował się ją opisać nie wiedząc, na co się porywa. Pisał ją z początku gęsim piórem na kartach pergaminu, tam też rysował mapy i obrazy dziwnych istot z Krainy, lecz wciąż mu nie szło. Ilekroć napisał kilka zdań, zaraz – przekonany, że nie tak opisuje Krainę jak trzeba – rwał pergaminy na strzępy. W końcu, pewnej burzliwej nocy poszedł na cmentarz i rozkopał grób jakiegoś nieszczęśnika. I choć brzmi to upiorne, z kości trupa wystrugał sobie nowe pióra do pisania, jako atramentu używając własnej krwi. Księga zaczęła wtedy pisać się sama i wciąż puchła, karmiąc się krwią szaleńca, który zapełniając kolejne strony oszalał ze szczeniem. W końcu znaleziono go powieszzonego w wieży, z której z pomocą lunety patrzył na gwiazdy, a Księgę zamknięto na cztery spusty i zapomniano o niej: śmierdziała bowiem krwią, a każdy kto do niej zajrzał prędzej czy później pragnął dopisać w niej coś od siebie i nie trzeba dodawać, że było wiele przypadków podobnych do losu jej nieszczęsnego autora. Do dziś wiele kart z tej Księgi wałęsa się po świecie.



Drugiej Księgi nie napisał człowiek, była to bowiem stara Księga Czarów znajdująca się od wieków w posiadaniu rodu elfów. Piękna to była Księga, jak wszystkie książki elfów, z okładkami z twardego drzewa zdobionego w najpiękniejsze ornamenty, a z jej kart wznosił się srebrzysty pył, który wpadając do serca budził w nim wielką błogość. Elfy używały jej rzadko, gdyż jako istoty zrodzone z czarów nie potrzebowały często korzystać z „suchej magii”, jak nazywały spisane magiczne formuły. Dziwne te i zwiewne istoty jako nieśmiertelne, opisały Krainę Zmarłych w formie ciekawostki, którą warto odwiedzić w magicznej podróży. Co stało się wszakże z Księgą Czarów? Jak wiadomo, w trakcie wojny pomiędzy ludźmi a elfami zaginęła, by odnaleźć się pewnego dnia w rękach najpotężniejszego z wszystkich ludzkich magów. Nic dziwnego, że przeklęto ją jak i jej posiadacza, gdyż jego potęgą wzięta się właśnie z tej Księgi a wykorzystał ją, podbijając krwawo ludzkie krainy. W końcu, gdy każde z państw padło u jego stóp uznał, iż wszystkie królestwa ziemskie to dla niego za mało. Zaczął się wówczas zbroić, by napaść na Krainę Zmarłych i wziąć ją w swe posiadanie. I tak, pewnego poranka w nieznaną udała się największa jaką świat widział, armia. Mag poprowadził swe hufce ku opisanej w Księdze Czarów Bramie Tysiąca Kości. Pod stopami jego wojowników drżała ziemia, a przerażeni ludzie pozamykali się w swych domach patrząc przez okna na czarną rzekę rycerskich zbroi i wielki las włóczni, widoczny aż po horyzont. Obsesja maga stała się wszakże przyczyną jego upadku, gdy bowiem ostatni wojownik przeszedł przez Bramę Tysiąca Kości zapadła na świecie straszliwa cisza, trwająca trzy godziny, a potem dźwięki wróciły jak gdyby nic się nie stało. Zapanował także na świecie niespodziewany pokój, mag bowiem nigdy już nie powrócił do świata żywych i nie wróciła też jego armia: słuch po nich zaginął.

Księga trzecia była księgą traktującą o religii, napisaną przez mnichów. Mało w niej było słów o Krainie Zmarłych mówiono jednak, że za pomocą modlitw znajdujących się na jej kartach można było przywołać ich dusze. Pewien król, który bał się śmierci i tego co za nią się kryje, nakazał kiedyś by przynieść mu Księgę i za jej pomocą wezwać jego zmarłą żonę. Tak też się stało, żona nie odezwała się jednak do króla – patrzyła tylko na niego smutnym wzrokiem, blada i srebrzysta, a gdy ten próbował jej dotknąć, padł zemdlny. Po tym wydarzeniu zabrano Księgę do opactwa i do tej pory leży ona zapomniana w świątynnych bibliotekach.

Czwarta i ostatnia Księga nie była tak piękna jak Księga Czarów, ciężka i zamykana na łańcuch jak Księga Mnichów ani upiorna jak Księga Wróżbity lecz miała coś w sobie, co nie pozwalało o niej zapomnieć. Wyglądała jak zwykła, choć pięknie oprawiona książka bez tytułu, zawierająca piękne opowieści. Wystarczyło jednak zagłębić się w lekturze, by – ni stąd ni zowąd – znaleźć wśród baśni i przypowieści opis wejścia do Krainy Zmarłych.

– Wyjdź z domu o poranku, lecz gdy dzień nie zbudził się jeszcze do końca – mówiła Księga – i trzymając mnie w dłoni idź przed siebie, oczy mając zamknięte. Usłyszysz nagle szmer – to będą ulatujące z ludzi dusze. Potem usłyszysz łoskot, jak huk zamykanych trumien i zasypywanych grobów i tym właśnie ten łoskot będzie. Nie otwieraj wszakże oczu, lecz dalej idź przed siebie aż poczujesz na twarzy powiew tak, jakby ktoś dotknął dłonią twojej twarzy. Otwórz wówczas oczy, znajdziesz się bowiem przed Bramą Tysiąca Kości.

Sto lat temu był pewien człowiek, który pragnął poznać tajemnicę Krainy Zmarłych ze wszystkich swoich sił. Korzystając z mocy czwartej Księgi, ruszył przed siebie o świtaniu. Szedł długo potykając się o

kamienie i wykroty, nie zawahał się jednak ani razu aż usłyszał dziwny szmer, jakby pieśń i krzyk jednocześnie. Pewien był, że to owe dusze, o których Księga wspominała nie powiedział jednak nic i nie otworzył oczu, lecz ruszył dalej przed siebie aż dobiegł go huk i łoskot. Zadrżał cały, nie powstrzymał jednak kroku. W końcu, zmęczony i przerażony poczuł, że ktoś go dotyka chłodną dłonią: otworzył wtedy oczy i ujrzał Bramę Tysiąca Kości.

Wielka to była Brama i, wbrew swojej nazwie, bardzo piękna. Wznosiła się wysoko, wyciosana z drzewa, kamienia i ziemi. Gdziekolwiek nie spojrzeć, widać było wtopione w nią kości: całe szkielety ludzkie i zwierzęce a nawet chitynowe skorupy owadów i rybie łuski tak, jakby przechodząc przez nią trzeba było pozostawić za sobą wszystko, co łączyło żywych z ich światem i wyzwolić się z cielesnej skorupy. Kości drgały lekko, jakby dotknięte wiatrem – człowiek nie patrzył jednak na nie, lecz przeszedł szybko za Bramę i znalazł się w Krainie Zmarłych.

W jego oczy uderzyły kolory – była to bowiem piękna Kraina, choć było w niej coś co nie dawało mu spokoju. Oto bowiem patrzył na ukwieconą dolinę i błyszczące tafle jezior, widział też odległe miasta i zamki: nie widział jednak słońca ani chmur a wszystko spowijała nienaturalna cisza. Nie wiał tu wiatr, nie poruszały się liście drzew, nie słychać było szmeru strumienia. Idąc przed siebie zauważył między niezwykle spokojnymi drzewami sarenkę: zwierzątko patrzyło na niego stojąc bez ruchu, zupełnie nie spłoszone. Człowiek wzdrygnął się i ruszył dalej.

Nie czuł głodu, chłodu czy pragnienia – idąc ścieżką Krainy Zmarłych nie był zmęczony i nic mu nie doskwierało. Zatrzymał się i dotknął rosnącej na ziemi trawy: była w dotyku miękka i soczysta, jarzyła się mu

w oczach i nie mógł stwierdzić: czy trawa wyrasta z ziemi, a może ziemia z trawy... a im dłużej na nią patrzył, tym bardziej nie potrafił oderwać od niej wzroku – możliwe nawet, że zostałyby przy niej i nie ruszył się z miejsca. Resztką sił oderwał wzrok od trawy i szybko pobiegł dalej czując w sercu powiew grozy, nie należał bowiem do tego miejsca i czuł, że tu nie pasuje. A było to przecież dopiero pogranicze Krainy Zmarłych i nie wiedział, jakie cuda kryją się poza zasięgiem jego wzroku.

Przyspieszył kroku. Pomyślał, że wejdzie do domu, którego zauważył tuż pod granicą lasu: był to piękny i duży dom, z wielkim ogrodem pełnym nieruchomych roślin, o białym dachu i kominie, z którego nie unosił się wszakże dym. Człowiek doszedł do furtki i popchnął ją lekko a ona uchyliła się bez skrzywienia, po czym zastygła.

Drzwi stały otworem, człowiek wszedł więc do środka i – ku swemu zdziwieniu – zauważył siedzących w wielkiej sali zmarłych. Ich ciała różniły się od jego, choć nie potrafił wytłumaczyć na czym polega różnica: może jaśniały lekko, a może dostrzegał coś kątem oka, coś czego nie potrafił dojrzeć? Powitali go uśmiechami, nie ruszając się z miejsca a on podszedł do nich z dziwnym lękiem w sercu, które rwało się w nim do poznania prawdy a jednocześnie kurczyło się ze strachu. Usiadł przy nich i zaczął z nimi rozmawiać a oni odpowiadali spokojnymi głosami na wszystkie jego pytania. Miał ich wiele, co jednak zmarli powiedzieli, zapadało w nim i zaraz wylatywało z jego głowy: nie mógł niczego spamiętać i nagle zrozumiał, że zmarli nie mówią mu nic konkretnego, lecz uspokajają go wiedząc jakby, jak bardzo jest przerażony. Bał się, bo nagle zrozumiał, że nie są oni tacy jak mu się przedstawiają tak, jak i cała ich Kraina nie jest tym, czym mu się wydaje. Nie mógł się wszakże poruszyć i czuł, jakby był pod wodą utkaną ze światła: ciepłą i miękką niczym bezpieczny kokon. W końcu znów zebrał w sobie resztki woli i

wstał, szykując się do wyjścia, a zmarli patrzyli na niego z błogimi uśmiechami tak, jakby litowali się nad nim i nad tym, że nie potrafi ich zrozumieć.

Wychodząc dojrzał jeszcze pewien szczegół, który sprawił, że pobiegł czym prędzej w kierunku Bramy Tysiąca Kości. Biegł ku niej jak szalony, pragnąc jak najszybciej opuścić Krainę Zmarłych.

Zmarli bowiem nie poruszali się i nie powstali na jego widok gdyż nie widać było, gdzie kończy się ich ciało a gdzie zaczynają się stoły i sofy, na których siedzieli. Poruszali rękami i zwracali ku niemu twarze patrząc srebrzystymi oczami, ale reszta ich ciał zlewała się z miejscami, w których się znajdowali... a miejsca te niknęły w chacie, która zatapiała się w las, który wyrastał z Krainy. Nic tu nie zaczynało się i nic nie kończyło, trwało tylko wieczne i wszechobecne, w spokoju i szczęściu którego człowiek nie mógł zrozumieć i które, zamiast budzić ukojenie w jego sercu, budziło niezrozumiały lęk.

Kraina Zmarłych jest bowiem tylko dla zmarłych.

# SZKLANY KOMPAS

Istnieje wiele przerażających przedmiotów za których użycie dostaje się specjalne miejsce w Piekło, ale najbardziej złowieszczych i zgubnych jest podobno siedem – naznaczonych czarną krwią przez samego Złego. Wielu śmiazków oddało życie, by zdobyć choć jeden z nich. Ludzkie pragnienia są bowiem przewrotne i często prowadzą marzycieli do zguby.

Posłuchaj o czterech z nich, trzy pozostałe zapadły bowiem w otchłań zapomnienia.

Podobno nie wszystkie z Siedmiu Zakazanych były złe od samego początku. Kilka stworzono nie znając ich przeznaczenia – trafiły jednak w ręce ludzi podłych, którzy wykorzystali je do najpodlejszych uczynków. Tak było choćby z trzema srebrnymi gwoździami. Nie jest to miejsce by mówić do jakiego strasznego czynu zostały kiedyś użyte, sprowadził on jednak na nie potworne przekleństwo. Mówią, że wystarczy użyć jednego gwoździa, by zabić każdą istotę – z tego i nie z tego świata. Jeśli użyje się dwóch – to dusza zabitego nie będzie mogła opuścić jego ciała. Nieszczęśnik taki błąkać się będzie po świecie, napadając żywych. Co stanie się jednak, jeśli użyjemy trzech gwoździ – nie wiadomo.

Bardziej zgubnym przedmiotem od trzech przeklętych gwoździ jest jednak Rzeźba Rozkoszy, stworzona podobno przez samego diabła. Wygląda ona rozmaicie, gdyż nie ma swojej nieziennej postaci. Raz jawi się oczom jak misterna rzeźba, a raz niczym bluźniercza kolumna pokryta freskami i płaskorzeźbami przedstawiającymi obrazy od których

każdy, choćby miał serce najczystsze, poczuje wezwanie zgubnej żądz. Będzie on wciąż wpatrywał się w przeklęty artefakt, który pokrywać się będzie przed jego oczami coraz obelżywymi i bardziej zepsutymi wizerunkami. Zepsucie sięgnie do najgłębszych zakamarków serca nieszczęśnika, który nie mogąc panować już nad swymi pragnieniami uczyni wszystko, by je zrealizować.

Trzecim przedmiotem jest słynna Księga Zmarłych, owa biblia szatańska oprawiona w ludzką skórę. Opasłe tomiszczce zaginęło przed wiekami, przechodząc przez ręce wielu szalonych kolekcjonerów, można jednak natrafić na część jego przeklętych kart przyzywających demony i dusze potępionych. Już za same zerknięcie w przeklęte stronic otrzymuje się dziesięć lat Piekła. Ludzie bogobojni nie raz próbowali spalić przeklętą księgę, jednak nie miał się jej ogień i ludzka ręka nie potrafiła go zniszczyć.

Najbardziej niebezpiecznym i przeklętym przedmiotem ze wszystkich tu przedstawionych jest jednak Szklany Kompas. Może dlatego, że wygląda on niepozornie. Niewielki i przerdzewiały ma jednakże urok, któremu nie sposób się oprzeć. Wystarczy wziąć go do ręki, by zachwycić się misternie wykonanym cyferblatem – Kompas ów bowiem go posiada, niczym kunsztowny zegarek. Drugie spojrzenie i w twoje serce wpadnie widok kilku jego strzałek – każdej innej, każdej wyjątkowej. Jedna wygląda jak delikatny listek pokryty srebrnymi żyłkami, inna jak wskazówka pradawnej maszyny, ozdobnej w kółka zębate. Kolejna: jak mała ludzka dłoń z wyciągniętym palcem, i znów następna – jak różdżka czarodzieja. Strzałki ruszają się niczym żywe i terkoczą radośnie, chowając się jedna za drugą. Niekiedy, gdy przyłożysz ucho do zimnego szkiełka usłyszysz dobiegającą z Kompassu melodię. Uśpi ona twą czujność, niczym zapomniana kołysanka, lecz jeśli dasz się jej uwieść – na

zawsze w ciebie zapadnie.

Szklany Kompas nie należał nigdy do Złego, choć ten bardzo go pragnął i drażył Ziemię szukając go od wielu tysiącleci. Raz widział go Anioł i niemal miał go w dłoni: Kompas opadł wszakże na dno wielkiego morza. Spoczywał tam długie lata, by – wraz z przyptywem – trafić na kamienistą plażę. Tam, dawno temu, znalazł go chłopiec zbierający muszle i zabrał go ze sobą.

Gdy nadeszła noc chłopiec usnął, ściskając w dłoni Szklany Kompas. Strzałki kręciły się, nucąc swoją melodię, terkocząc wesoło i pierwsza z nich – ta z ludzkim palcem – stanęła gwałtownie, drżąc od szumu morza. Chłopiec otworzył oczy. Pomyślał, że pójdzie tam, dokąd wskazuje palec, a kiedy raz tego zapragnął, nie mógł uwolnić się od tego pragnienia. Poszedł zatem przed siebie, nie biorąc nic ze sobą – oprócz Szklanego Kompasu.

Dziwna była to podróż. Chłopiec mijał ludzkie siedziby, lecz nikt go nie dostrzegał. Wchodził do ludzkich domów w momencie, gdy akurat nie było w nich nikogo. Mógł w nich buszować do woli i zjadać jedzenie ze spiżarni. Bywało, że niezauważony wchodził do królewskich skarbców, gdzie chwycił w dłonie królewskie monety. Zakradał się do namiotów dowódców stacjonujących z dala od prowadzonych bitew i ze znużeniem przeglądał strategiczne mapy, od których zależały losy wojny. Wchodził i wychodził z więzień, przemykając pomiędzy strażnikami i więźniami niczym duch. Ze Szklanym Kompasem w rękę zawsze był bezpieczny. Zdązał zawsze i wszędzie i zwiedził wiele miejsc, biorąc co chciał i nie płacąc za nic. Był niczym pan świata lecz dziwne było jego królestwo – bo puste i samotne, pełne pokoi z zastawionym stołem, karczm z łóżkami, w których nikt nie sypiał i ścieżek, na których nie napotykał na nikogo.



I tak upłynęły trzy lata jego wędrówki. Chłopiec stał się młodzikiem. Wciąż wędrował przed siebie, niezauważony przez nikogo, coraz bardziej znużony.

– Kręcę się w kółko – powiedział pewnego dnia do siebie, siedząc na przydrożnym kamieniu i patrząc na rozciągający się w dole pejzaż. – Czy nie można po prostu dojść dokądś? Najlepiej tam, gdzie ziemia ma swoje serce. Musi być chyba coś, co jest tu najpotężniejsze, co rządzi całym światem...

Ledwie wypowiedział te słowa, strzałka z ludzkim palcem drgnęła, wskazując na północ. Z wnętrza Szklanego Kompasów dobyło się melodyjne terkotanie, a chłopiec natychmiast ruszył przed siebie, idąc za jego wskazaniem.

Szedł tak trzy dni, aż dotarł do niewielkiej wioski leżącej w pobliżu lasu. Zdawało się, że niczym nie wyróżnia się ona od innych – dobiegł go jednak delikatny zaśpiew i ulotny zapach, którego nie potrafił określić, a który rozsadzał mu serce wielką tęsknotą. Młodzik pobiegł przed siebie i stanął nagle jak słup – ujrzał bowiem najpotężniejszą rzecz na tym świecie. Była to przepiękna dziewczyna, śpiewająca do siebie i wyciągająca wiaderko wody ze studni. Jej włosy były niczym len, ciało jak aksamit, a oczy jak wiosenny zmierzch. Dziewczyna spojrzała na niego i uśmiechnęła się, a on uśmiechnął się do niej.

Krótko trwało ich szczęście, bo przedstawicielka tej najpotężniejszej na ziemi siły przez chwilę tylko była na tym padole. Ledwie kilka miesięcy po ich spotkaniu odeszła wskutek ciężkiej choroby i młodzik znów został sam. Nic poza cierpieniem nie trzymało go w wiosce, znów ruszył zatem przed siebie – teraz jednak wolniej stawiał już kroki, a z każdym krokiem mniej było miejsc, do których chciał podążyć. Widział już wszystko i był wszędzie, lecz nic go nie cieszyło. I tak, pewnego dnia,

drgnęła druga strzałka.

Była to strzałka czarodzieja. Młodzieniec poszedł za nią i znalazł się w innej krainie. Nie był to już świat ludzi, lecz zaklęte księstwo, pełne dziwów i czarów. Mijał w nim pola pełne złotej pszenicy i strzeliste pałace. Odwiedzał zaczarowane jeziora i ogrody, wielkie niczym miasta. Widział dziwaczne postacie nie przypominające ludzi. Wiele razy młodzieniec pragnął odrzucić Kompas i zagadnąć jedną z napotkanych ras, gdyby nie oczy owych cudownych istot – tajemnicze i nieludzkie, dziwnie obce. A był to zaledwie ułamek dziwów tych dziwacznych krain, po których – tak jak po ludzkim, znanym świecie – młodzieniec poruszał się niepostrzeżenie.

Niestety, najbardziej cudowne i niesamowite miejsce potrafi z czasem znużyć.

– Wszystko jest tu piękne i niesamowite – powiedział do siebie młodzieniec trzeciego roku dziwacznej podróży. – Wszystko jest fascynujące, ale jak znaleźć tu szczęście i miłość? Wszędzie tylko pałace, zaklęte księżniczki, zaczarowane jeziora, tajemnicze pieśni i tańce w zagajnikach. Musi być coś, co nadaje sens temu wszystkiemu. Inaczej na co komu wszystkie te cuda?

Ledwie wypowiedział te słowa, strzałka o wyglądzie różdżki drgnęła zauważalnie wskazując południe, a z wnętrza Kompassu dobiegła terkocząca melodyjka. Młodzieniec ruszył natychmiast i zaledwie po trzech dniach dotarł do miejsca, z którego przybył. Patrzył w zdziwieniu na przejście do świata ziemi, który opuścił trzy lata temu lecz teraz zauważył, że z zaklętych krain leci ku niej podmuch, zefir lekki jak marzenie. Stał więc w miejscu, zamykając oczy i nasłuchując jak każda z historii rozgrywanych w zaczarowanej krainie spada na ziemię, jak drogocenny diament. Każde z magicznych wydarzeń płynęły ku ziemi i

upadały w ludzi, nasączając ich tęsknotami i marzeniami. Młodzieniec otworzył oczy.

– Taki kawał drogi, by dojść do tego samego miejsca! – krzyknął. – Byłem już tutaj! To wszystko jest beznadziejne, o co chodzi w tym wszystkim? Strata czasu, śmierć i pustka...

Na jego słowa, drgnęła nagle trzecia strzałka, wyglądająca niczym wskazówka maszyny.

Młodzieniec ruszył natychmiast. Szedł za jej wskazaniem w ciężki, mroczny zaduch i odległy łoskot uderzających młotów. Z każdym krokiem czuł coraz większy strach. W tej krainie był krótko i szybko wymazał pamięć o jej widoku. Było to bowiem miejsce bólu, pełne jezior ognia, rozrywanych ciał potępionych, sal tortur i koszmaru, labirynt cierpienia i wyszukanych rozkoszy. Gdyby nie Kompas, wiodący go przez korytarze i pałace, podróżnik szybko padłby zemdlony od panujących tam oparów. Szybko przechodził przez hale olbrzymich maszyn, skarbcze umarłych i jaskinie zapomnienia. Po pewnym czasie pędził przed siebie jak oszalały, aż stanął wreszcie w miejscu – cierpienie zdawało się bowiem być nieskończone.

– Co za potworność... – wyszeptał do siebie lękliwie. – Tak zatem wygląda brak wszelkiej nadziei. Tu nie ma miejsca, do którego można by dążyć i nie ma żadnego sensu – tylko ból. A może to ma jakiś sens?

Ledwo powiedział te słowa, strzałka szybko zmieniła się w ostatnią: wyglądającą niczym delikatny, piękny liść.

Młodzieniec ścisnął w ręce Kompas, jakby zależało od niego jego życie. Patrząc na ostatnią strzałkę biegł przed siebie, a ona wyprowadziła go z królestwa bólu w dziwne, ulotne miejsca. Stąpał po nich ostrożnie i bojaźliwie, była to bowiem część świata, która nigdy nie została ukończona, a jedynie utkana ze światła. Z każdym krokiem podróżnik

uspokajał się jednak i strząsał z siebie piekielny odór. I tak doszedł przed Bramę Raju.

Zbliżył się do niej niepewnie, choć przeczuwał przecież, że ją właśnie wskazuje ostatnia strzałka. Jego serce rwało się tam jak szalone i chociaż Szklany Kompas nie zawiódł go do tej pory, to teraz chłopiec szedł przed siebie niepewnie i w strachu, co może go spotkać. Strzałka kazała mu nagle skręcić, co też uczynił, po czym zaczęła kręcić się w kółko, co oznaczało stanie w miejscu. Stał zatem, wciąż zerkając na Bramę, aż do momentu, gdy Szklany Kompas kazał mu iść naprzód.

Był już tak blisko! Brama Raju stała półotwarta po wpuszczeniu do Błogosławionej Krainy kolejnej duszy. Nikt nie stał akurat na straży. Młodzieniec, wciąż niepewnie, przekroczył ją zatem, a ona zamknęła się za nim. Stał teraz, otumaniony niewysłowionym pięknem Złotej Drogi prowadzącej w głąb Raju. Po jej bokach wznosiły się rajske Drzewa, a każde ugięło się od owoców na zawsze gaszących głód i pragnienie. Dalej, na horyzoncie, widać było Ogród Zbawienia i strzeliste, srebrne wieże rajskego Miasta.

Podróżnik popatrzył jeszcze przez chwilę na tę Krainę, do której dąży każda ludzka istota i odrzucił Kompas, daleko za rajske mur. A ten poleciał przez mgły niedokończonego świata z powrotem na Ziemię. Już nie był potrzebny, ktokolwiek bowiem przekroczy Bramę Raju, ten, według prawa, zostanie w nim na zawsze.

I dlatego ów Kompas jest przeklęty.

# SREBRNE WAHADŁO

Na pewno i Ty go spotkasz, dobrze by więc było, byś o nim coś wiedział.

Cała ta historia zdarzyła się dawno temu, gdy drzewa w naszym miasteczku były jeszcze młode, a uliczkami sunęły szerokie jak łodzie wozy. Z ich głośników dobiegały piosenki o prostej miłości, a w powietrzu unosił się zapach topoli. Uśmiechnięte dziewczyny w białych bluzkach szły przed siebie aleją zakochanych, przyciskając do piersi książki i kajety. Chłopcy patrzyli za nimi, nonszalancko układając pokryte brylantyną włosy małymi grzebykami, a stary ksiądz spacerujący ze swoim jamnikiem fukał złowrogo na przykrótkie sukienki roześmianych panien.

A potem nadeszła jesień i w miasteczku pojawił się niespodziany gość.

Podobno gdy nadszedł polną drogą i wszedł przez główną bramę, w miasteczku stanęły wszystkie zegary, a największy z nich – stary zegar na wieży – wybił godzinę siódmą i zamarł na zawsze. Z drzew jak zapomniane westchnienia spadły ostatnie liście, a pomiędzy kamienice wdarł się chłód, nie wiadomo czemu zmieszany z zapachem słodkiej wanilii.

Przybysz miał piękną, spokojną twarz, zmęczone oczy, czarne, nieco potargane włosy i drelichowy płaszcz, który powiewał za nim niczym skrzydła. Wyglądał na samotnego, ale nikt się nie kwapił by podejść do niego i zagadnąć choćby jednym słowem. Jedyne istoty, które przybiegły do obcego, były koty. Ale nawet one zachowały bezpieczny dystans i kręciły się tylko wokół, nie wydając żadnego miauknięcia.

Ja z początku widziałem go tylko przez chwilę i kiedy przechodził niedaleko, usłyszałem zapomnianą piosenkę, jedną z tych które przy pracy podśpiewują sobie czasem mężczyźni. Nie wiem czy on ją nucił, czy nadleciała do mnie wraz z trzaskiem starego radia... ale zapadła mi w serce tak, jak potrafią zakorzenić się melodie z popękanych i czarnych jak smoła płyt. Była to pieśń, która miała dopiero nadejść. Rozmawiał w niej błazen z łotrem i było tam coś o strażniczej wieży, do której zbliżało się dwóch tajemniczych jeźdźców. Na koniec, w zwrotce o narastającym wietrze, poczułem nagle podmuch zmiatający liście z uliczek miasteczka. A potem przybysz poszedł dalej, pozostawiając za sobą zapach wanilii.

Ludzie widzieli go w różnych miejscach miasteczka. Siedział podobno na ławce w parku zabaw i z uśmiechem patrzył na bawiące się dzieci. Nawet one nie podeszły do niego, choć najodważniejsze zbliżyły się nieco do ławki przyglądając się w milczeniu. Widziano go pod piekarnią i w przy kinie. Podobno udał się na film o potworach wychodzących z morza i zatapiających miasta, ale nie wierzę by była to prawda, bo takiego filmu nie grali. Wiem na pewno, że był świadkiem napadu na młodą kobietę. Sprawcy widząc go, zostawili ją w spokoju i odeszli bez słowa. Ich niedoszła ofiara oddaliła się także zerkając na niego trwożnie, choć przecież nie zrobił nic ani nic nie powiedział.

Ostatni dzień jego wizyty pamiętam jak przez mgłę. Pamiętam, że tego poranka obudziłem się z lekkim bólem serca, a powietrze było bardzo rześkie. Zerwałem się z łóżka, napięty i niespokojny, pewien, że stanie się coś ważnego. Czułem, że w ten dzień właśnie odnajdę swą wielką miłość albo że przeżyję wielką przygodę. Zapragnąłem nagle pobiec przed siebie ulicami miasteczka, zrobić coś szalonego i pięknego. Ale na razie matka zawołała mnie do kuchni, gdzie kończyła piec pulchne placki. Jej także udzielił się wyjątkowy nastrój i gdy czasem o niej pomyślę, pamiętam ją z

tego dnia: szczęśliwą i wesołą tak samo jak ja, ubraną w kwietną sukienkę, młodą, o błyszczącej skórze, pachnącą i śmiejącą się bez powodu.

Pamiętam, że wybiegłem szybko na uliczki, szukając przyjaciół. Była sobota i dziś mieliśmy spotkać się w kinie, albo przy barze, albo na boisku. Tyle było słońca i tyle powietrza, tyle zapachu wanilii, że prawie nie do zniesienia. Myślałem, że krew rozsadzi mi skórę. Biegłem więc, aż znów zabołało mnie serce. Stałem nagle przy parku i wtedy go zobaczyłem.

Obcy spacerował przy ulicy, dotykając dłonią stojącego przy niej nowego samochodu. Szedł powolnym krokiem i rozglądał się, jakby patrząc na wszystko po raz ostatni. I usłyszałem je wtedy: to było jak szum ciężkiego wahadła, tykającego zegara pokrytego zimnym srebrem. Wydawało się, że niewidoczny ciężarek, nakręcający mechanizm zegara miarowym ruchem stuka wraz z każdym krokiem przybysza. Niepewnie ruszyłem za nim, idąc dziwną ścieżką chłodu. Bo zrobiło się nagle zimniej i zrozumiałem, że to ostatni dzień choć nie wiedziałem, co może to oznaczać.

Samochód, którego dotknął przybysz, przestał skrzyć się nowością. Trudno było stwierdzić, na czym polegała różnica – jakby blask lakieru cicho zbladł. Park, przez który przechodził, stał się jakby mniej rzeczywisty, a bardziej powszedni. Obcy minął zakochaną parę i ta, jakby pod jego wpływem, niezauważalnie odsunęła się od siebie. Nie byli już tak piękni i młodzi jak przed chwilą, a na ich twarzach pojawił się cień. Poczułem nagle smutek tego, który tego dokonał – zupełnie jakby nie chciał się pogodzić z tym, co uczynił i jakby żegnał się po raz ostatni z tym, co musi opuścić.

Gdy za nim szedłem, miasteczko przestało być nagle piękne i

wyjatkowe. Nagle dostrzegłem jego małość i było to za dużo na moje małe serce. To wtedy pojawiło się w nim pragnienie, by odejść i poszukać innych miejsc, do których on jeszcze nie dotarł, które były jeszcze czyste i nowe, w których była nadzieja. One musiały gdzieś być, a ja poczułem potrzebę, aby znaleźć to, co on zabrał.

Szybko zorientowałem się, że przybysz odchodzi. Jego płaszcz nakrywał mnie srebrzystym cieniem. Snułem się za nim krok w krok, aż do głównej bramy. Z szarego nieba, które przedtem było tak niebieskie, zaczęły nagle padać pierwsze płatki śniegu. Nie był to jednak bożonarodzeniowy śnieg, lecz szara plucha i wcale mnie nie cieszył.

Pamiętam, że zanim odszedł krzyknąłem do niego, a on odwrócił się do mnie. I w jego oczach było to, co nam odebrał. Miał jasne i żywe spojrzenie i poczułem, że może odejdzie tam, gdzie będzie mógł to przechować. Pomachał do mnie życzliwie, jakby coś obiecywał. I może dotrzyma kiedyś tej obietnicy.

Czasem myślę, że czekam na to przez całe swoje życie.

ŻEGNAJ, PODRÓŻNIKU!

TU KOŃCZY SIĘ *SZKLANA GÓRA* PIERWSZA CZĘŚĆ *PONURYCH BAŚNI*